№ 28. Warszawa, dnia 10 Lipca (28 Czerwca) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Dymiący wulkan. — O Galicyi p. T. T. Jeża. — Tydzień polityczny. — Z dziennika pesymisty p. Brolisa. — *Badania naukowe:* Ustrój społeczny u ludów pierwotnych III. p. Lud. Krz. Psychologia zwierząt II. p. J. K. Potockiego.—Prawoznawstwo: dr Ostrożyński Wł. Prawo wyższej konieczności p. B.— Wynalazki II. p. W. N. — *Literatura i sztuka*: Plon konkursowy I. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Administracya „Prawdy“ mieści się przy ulicy Złotej, nr 23 nowy (9-A. dawny).

POLITYKA.

DYMIĄCY WULKAN.

Lipiec rozpoczyna zwykle „porę martwą,“ w której posłowie sejmowi wracają do domów, ministrowie i monarchowie wyjeżdżają do wód, w której warsztaty polityczne zawieszają lub zmniejszają znacznie swą robotę. Ale chociażby owa pora była jak najbardziej martwą, a lato skwarnem, znajdzie się zawsze jakiś straszak, który co kilka dni lub tygodni spędzi rubla na dół. Nie ma bowiem nigdy takiej ciszy, w której by nie dmuchały na niego szkodliwe wiatry. I teraz więc, mimo spokoju i bezczynności, opadł on w kursie giełdowym i opadnie jeszcze nieraz. Według zapewnień prasy przysługę tę wyświadczył mu *Journ. de St. Petersbourg*. Książe bułgarski zwołał — jak wiadomo — „sobranie“ z obu połów swego państewka i powitał przedstawicieli narodu mową z pozoru niewinną i lojalną, w gruncie jednak zawierającą twardy kamyczek obrazy. Mianowicie wspomniał on, że „tyle pożądana unia stała się *faktem dokonanym*.“ Ściśle a raczej prawnie biorąc, unia ta, zapewniająca księciu Bułgaryi zarząd Rumelią na lat pięć, faktem dokonanym jeszcze nie jest, jest nim wszakże mocą tej siły powodzeń i stosunków, która ją spełniła. Bułgarya przedstawia dotąd kościół wykończony w budowie, posiadający już ołtarze i przybory, ale niepoświęcony przez dyplomacyę, która gniewa się lub klątwą grozi nieposłusznemu księdzu, co śmie w takim przybytku odprawiać nabożeństwo i głosić kazania dla hierarchii nieprzyjazne. Gdyby półwysep Bałkański nie był ową Tokajową górą, na której każdy dwór ma swoją winnicę, gdyby tam nie krzyżowały się najrozmaitsze interesy, rachuby i zawiści, dość byłoby zdaleka pogrozić małemu władcy, ażeby go ukorzyć. Na nieszczęście a jego szczęście ma on nad sobą wielu panów i opiekunów, którzy, złączeni ślubami wiecznej zgody, chętnie podstawiają sobie nogę — Bismark Freycinetowi a Gladstone Kalnokemu, lub odwrotnie. Wobec tak przykładnej zgody zarzucenie dyplomatycznego lassa na krnąbrne książątko jest niezmiernie trudne, gdy trzeba, ażeby to lasso trzymali wszyscy interesowani i ażeby ono przeleciało nad głową sułtana, który znowu strzeże swego majestatu. Odbiciem tego kłopotu był właśnie artykuł *Journ. de St. Petersb.*, który wskazawszy na pogwałcenie międzynarodowej umowy przez ks. Aleksandra, ostrzegł Portę przed możliwością „poważnych następstw.“ Bo dodać należy, iż ze wszystkich patronów Bułgaryi najpobłażliwszem okiem na jej wyzwalanie się patrzy najbardziej stratny sułtan. Wyrosła nawet w prasie pogłoska, że on tajemnie sprzyja buntowi swego wasala. Ponieważ „sobranie“ odpowiedziało swemu monarsze adresem, w którym również zaznaczyło „dokonany fakt unii,“ powód więc do nagany dyplomatycznej istnieje. Natychmiast obleciały świat telegramy o „czarnej chmurze na politycznym widnokręgu,“ o gromadzeniu wojsk, o bliskiej kampanii, ale, jak dotąd, tylko biedny rubel zapłacił koszty tego alarmu dotkliwą zniżką swego kursu. Za walką na papierowe noty nie idzie burza wojenna, a „groźna chmura“ zaczyna się rozpływać.

Ostatecznie dyplomacya musi coś z tym fantem bułgarskim zrobić: albo go uprawnić milcząco, albo też przygnieść potężną wolą natychmiast. Jeżeli ks. Aleksander nie będzie zaraz odzwyczajony od zwoływania sejmu „zjednoczonej Bułgaryi“ i od głoszenia unii za „fakt dokonany,“ powtórzy to samo później i niezadowolonym odbierze racyę zbrojnego wystąpienia. Trudno bowiem będzie go kiełznać i pętać za rok lub dwa, gdy już swą „samowolę“ wdroży w życie narodu. Dziś można mu jeszcze przypominać traktaty, ale nie wtedy, kiedy je praktyka unieważni i zatrze w pamięci ludzkiej. Że taki pogląd przeważa w niektórych gabinetach, wątpliwości nie ulega, ale że on spotyka mocne przeszkody — to jest również widocznem. Niezmiernie ciekawą i charakterystyczną jest ta namiętna, a prawie niema gra, jaką prowadzą mocarstwa o półwysep Bałkański. Nie ma ona wybuchów gwałtownych, ale składa się z tysiąca tajemnych szachów, drobnych podstępów i cichych półsłówek, które prasa europejska nauczyła się już wybornie odcyfrowywać i całemu światu tłomaczyć. Gdy ks. Aleksander wypowiedział swą mowę, jedna z gazet doniosła, że został wykluczony z armii pruskiej. Jak tylko pogłoska ta zrobiła dostateczne wrażenie, zaczęto jej zaprzeczać, delikatnie, krótko, ale tak umiejętnie i na właściwych miejscach, że wkrótce znikła, zostawiwszy po sobie ślad — sympatyi pruskiej dla potępionego — ślad, który musiał rozdrażnić stronę mu przeciwną.

W tej chwili panuje szeroko przez dzienniki wyznawane przekonanie, że stosunki niemiecko-rosyjskie oziębły. Być może, że jest ono trafnem, w każdym razie w długą trwałość takich przekonań, a raczej takich oziębłości wierzyć nie należy. Ks. Bismark jest politykiem „realnym,“ tj. niezależnym od żadnych uczuć, niemającym uprzedzeń i podającym rękę każdej innej, która jest pełną. Wiadomo zaś oddawna, że ile razy chce od jakiegoś państwa coś

wytargować i ściślej się z nim związać, daje mu naprzód poznać swą siłę w wypadkach bieżących i udaje gniew. Według wszelkiego tedy prawdopodobieństwa, jeśli dąsa się na Rosyę, ma do niej jakiś interes. Bądź co bądź, na tych dąsach nie należy opierać żadnych przypuszczeń odnośnie do kwestyi wschodniej i prędkiego jej załatwienia. Powtarzamy to oddawna i dziś, że ona rozwiązać się musi, ale rozwiąże się mimo a może nawet wbrew woli dyplomatów, siłą biegu rzeczy, po części przez nikogo nieprzewidzianych i nieobrachowanych. Na tej drodze wyrosła Bośnia z Hercogowiną, na tej drodze zjednoczyła się Bułgarya, po niej również przyjdą wypadki, które będą ostatniem słowem w tym wiekowym sporze polityczno-narodowościowym. Kiedy? Tego nikt nie wie — nikt. Wulkan ciągle dymi się, ale kiedy wybuchnie i wyrzucać lawę przestanie — mądrość ludzka nie obliczy. Przepowie katastrofę — na 24 godz. Nie starczy ludziom czasu na ucieczkę, ale starczy na rozprawy. Takim dymiącym wulkanem jest półwysep Bałkański, a chociaż otoczony obserwatoryami, myli ciągle wszystkie ich wyrachowania.

O GALICYI.

Z konieczności rzeczy pisanie moje niniejsze przybrać musi charakter polemiczny. Do polemiki wyzwał mnie sz. kolega Iw. Franko artykułem: „Jeszcze o rozruchach galicyjskich,“ drukowanym w n-rze 23 *Prawdy*. Nie o rozruchy atoli rzecz idzie, ale o położenie, o stanowisko Galicyi w ramach konstytucyjnych monarchii austryackiej. Nie posiadam pod ręką dokumentów urzędowych dla wykazania, że konstytucya galicyjska na piasku stoi, że zależną jest od dobrej woli, od łaski monarszej. Fakt ten podałem z pamięci, wedle tych wrażeń, jakie sprawiało na mnie stopniowe, poczynając od r. 1849, kształtowanie się konstytucyonalizmu w Austryi i na poparcie wrażeń moich nie mam nic innego, jak fakty historyczne. Te ostatnie w zarysach ogólnych przedstawiają się tak: do r. 1850 rządy konstytucyjne, do r. 1860 samowładne, od r. 1861 konstytucya rodzaju jednego, po r. 1867 — rodzaju innego. Raz posuwanie się naprzód, znów cofanie się, wreszcie rozwój. Wszystkim tym zmianom kierunku i frontu przewodniczył panujący — a nietylko przewodniczył, ale był ich inicyatorem. Wola jego, zwana urzędownie „łaską,“ przejawiała się w pełni całej. „W niezłomnem postanowieniu zachowania bez plamy blasku korony, lecz w *pogotowiu* dzielenia praw naszych z przedstawicielami naszych ludów, spodziewamy się“ itd. — brzmiała proklamacya Franciszka Józefa, zaznaczająca wstąpienie jego na tron. W rok później dzielenie praw usunięte zostało i przez lat dziesięć mowy o tem nie było. Powrót do konstytucyonalizmu zrazu bardziej, następnie mniej połowicznego sprowadzają klęski, tak, iżby powiedzieć można, że konstytucyę Austryi nadali najprzód (1859) francuzi, potem (1866) prusacy. Lecz ani francuzi, ani prusacy nie ograniczyli praw monarchy, który się praw swoich nie zrzekał i nie zrzekł. Jaki z nich użytek zrobił w roku 1850, gdy rządy reprezentacyjne zniósł, taki użytek zrobić by mógł dziś, jutro, kiedy by się mu podobało. Konstytucya austryacka nie jest, jak angielska, lub belgijska, obowiązującą obie strony—rządzącą i rządzoną. Obowiązuje jeno tę ostatnią; monarchę zaś tak długo i w takiej mierze, jak on to za stosowne uzna. Gdyby, bądź Franciszek Józef sam, bądź następca jego uznał za stosowne izby reprezentacyjne zastąpić „beirathem,“ lub bez zwoływania ich się obywać: czy jest jakie prawo, któreby mu na to nie pozwoliło? Jedyne we względzie tym prawo wyraża się pod postacią nacisku okoliczności. Okoliczności wytworzyły potrzebę podzielenia się prawami z przedstawicielstwem ludów i próby dzielenia się tego sprowadziły ustrój federacyjno-autonomiczny, do korzystania z którego przypuszczoną została i Galicya.

Czy przypuszczoną została dlatego, że przypuszczoną być musiała, czyli też dlatego, że taką była dobra monarchy wola? Sama ogólna natura konstytucyi austryackiej mus usuwa. Jak cesarz mógł jej nie nadać całej monarchii, tak mógłby z niej kraj ten lub ów wyłączyć. Do tego wszakże potrzeba racyj, których nie ma w odniesieniu do Czech, Morawy, Austryi wyższej i dolnej, Karyntyi, Karnioli, itd. — krajów koronnych, wkluczonych w skład państwa całkowicie i bezwarunkowo. Dla mocarstw, pozostających z Austryą w stosunkach, rzecz to obojętna, jak się te kraje administrują, jak rządzą, sądzą, w jakich barwach chodzą, jakim językiem mówią. Co do Galicyi, są mocarstwa, z któremi stosunki mają dla Austryi znaczenie wielkie, dla których nie jest to rzeczą obojętną. Za dowód w mierze tej służyć może prasa pruska, interesująca się autonomią Galicyi w sposób szczególny. Czy nie uderzyła prasa pruska na trwogę z powodu wybierania się w roku przeszłym galicyan do Welehradu? Ta troskliwość prasy świadczy dowodnie zarówno o odrębności położenia Galicyi w składzie monarchii austryackiej, jakoteż o odrębności „łaski,“ co ją do udziału w życiu konstytucyjnem przypuściła. Łaska dla innych krajów koronnych ogólna i tem samem pewniejsza, dla niej się wyszczególnia tymi warunkami, jakie w r. 1860 obejść należało i po r. 1867 uwzględniać potrzeba. Za autonomię galicyjską wziął cesarz na siebie osobistą niejako wobec polityki zagranicznej odpowiedzialność, o której mowy być nie może co do autonomii krajów innych. Innem też być musi zobowiązanie się konstytucyjne monarchy w odniesieniu do tych ostatnich, aniżeli w odniesieniu do Galicyi i innem konstytucyjne kraju tego traktowanie. Wytłomaczyłem tedy, zdaje się, jasno przyrównanie podstaw konstytucyjnych w Galicyi do gruntu piaskowego.

Że na gruncie takim budować trudno, tego dowedzić szeroko nie potrzeba. W tej chałupie konstytucyjnej szlachta, której się gospodarzenie dostało, gospodarzy nie jak we własnej. Funkcya jej jest burgrabską, zależną od sprawowania się. Pozostaje pod dozorem, do którego stosować się musi, w razie bowiem przeciwnym dostanie nogą gdzieś i pójdzie w dymisyę bez pensyi i munduru! Wolno jej to jeno, co odpowiada widokom łaskodawcy i to też tylko uzyskuje sankcyę odpowiednią, polityczną i ustawodawczą. Wykażę to przykładami.

W r. 1848 znajdowałem się w Galicyi; nie byłem członkiem ani rady, ani gwardyi narodowej i szeroko otwartemi a ciekawe-

---

1)

Z DZIENNIKA PESYMISTY.

I.

Walka o byt.

I minęło znowu dni kilka, wody wezbrane poczęły opadać. Wówczas Noe wypuścił z arki gołębia i kruka, by zwiedziły ziemię i wieść o jej stanie przyniosły.

Zaledwie ptaki wzbiły się w powietrze, gołąb zawołał:

— Spójrz bracie, jakie okropne spustoszenie! Ile musiała wycierpieć biedna ziemia. Patrz, równiny dotychczas pokryte wodą, obciążoną mułem i ofiarami kary bożej, ile śmierci, ile zgrozy! Na pagórkach, wystających z fal, zgięte, połamane drzewa... okropne parowy potokami wyryte!.. Tam dalej pewnie miasto było a teraz gruzy i śmierć! Strach zdejmuje... Lećmy napowrót do arki, opowiedzmy wszystko, a będziemy wszyscy modlili się i dziękowali za nasze zbawienie.

— Cicho tchórzu! — zawołał kruk. Nic strasznego się nie stało. Kilka parowów—tem lepiej — urozmaicą powierzchnię ziemi. Woda w dolinach utworzy jeziora, zobaczysz, je?cze ładniej będzie. Miast trochę szkoda, bo żeru dostarczały, ale znowu powstaną. A trupy! Toć boża wola działała. Żałując potopionych, bluźnisz przed obliczem Boga. Co nam do skaranych przestępców — myśmy przecie żywi i zdrowi! Śpieszyć zaś do arki — po co?.. Zresztą leć, jeśli chcesz, ja zostanę; przyjemnie popatrzeć na ziemię, nim znowu porośnie trawą i krzewami. Dla mnie ta wielka ruina ma czarowny urok...

— Na wzgórku ogrzanym promieniami słońca — mówił gołąb — oliwne drzewko ożywa. Ile zielonych listków rozkwitło!.. Uszczknijmy po gałązce i zanieśmy do arki. Niech cieszy się Noe z rodziną, niech cieszą się wszyscy — prędzej!.. sprawmy im radość.

— Cha, cha, cha! — zakrakał kruk — idealista z ciebie, marzyciel!.. Święcąc tę radość, Noe ucztę sprawi, a na nią ciebie usmaży i połknie. Leć, ja sobie żeru poszukam, to będzie praktyczniej. Poczya dobra, ale nie na czczo. Zresztą, co kto lubi: ja widzę coś smacznego na pochyłości góry... O, bo ja także znam się trochę na poezyi...

Westchnął gołąb i pofrunął ku drzewu, a kruk spuścił się na dół.

Na pagórku, u podnóża drzewa, biegł strumyk czysty; musnął gołąb skrzydłami po wodzie, strzepnął się, wygładził dziobkiem piórka; potem gruchnął radośnie, uszczknął gałązkę oliwną i wrócił.

Kruk już podniósł się z doliny i latał niecierpliwie: pióra miał zbłocone, a dziób i szpony krwią obryzgane.

— Cha, cha!.. — zawołał, widząc gołębia. Toś się wygłodził... Doczekasz się rożna!...

— Bracie — odrzecze gołąb — czyż możemy nieść taką radosną nowinę i nie ustroić się świątecznie. Otrzyj dziób i szpony; po co przynosić razem z gałązką życia pamięć krwi i nieszczęść ziemi?

— Uspokój się, idealisto! Człowiek bardziej lubi zapach krwi, niż won twych gałązek... Znam nieco ludzi! Chyba żeby zazdrości nie budzić!.. No, to zaczekaj, głodny liryku, umyję się. A wiesz, podczas twego marzenia nad gałązkami urządziłem sobie ucztę. Na stoku góry znalazłem matkę z dziecięciem. Kobieta miała ręce wyciągnięte, zesztywniałe — nad głową, trzymała dziecię, widocznie, nawet ginąc, myślała nie o sobie, lecz o niem. Czy nie bohaterka?.. Jakież to oczy u tego dziecka! Lecz co tam oczy, odszukałem serce tej dobrej kobiety — wyśmienite: miękie, delikatne, duże... ucztę miałem nie lada!

Mówiąc to, kruk przybliżył się do wody i plusnął niedbale skrzydłami kilkakrotnie. W tej chwili potwór morski, słysząc ruch na powierzchni wody, ciekawie wynurzył głowę, a ujrzawszy żywe stworzenie, otworzył szeroko paszczę i począł skradać się żarłocznie.

mi oczami przypatrywałem się wszystkiemu, co się działo. Uderzyły mnie mianowicie dwa fakty, z których o jednym sz. I. Franko wspomina w *Prawdzie* (nr 23), o drugim w *Kraju* (nr 22). Zacznę od tego ostatniego.

„Romantyczny patryotyzm“ (nie rozumiem, co to znaczy) orzekł darowanie pańszczyzny i uwłaszczenie ludu bez wynagrodzenia. Orzeczenie podobne nie mogło się dokonać jednomyślnie, dokonało się jednak większością tak przeważną i znaciskiem takim, że się wobec niego rząd centralny uciec musiał do podstępu i „antydatować“ dekret. Fakt ten, w którym pod względem ekonomicznym i politycznym dopatrzeć się dadzą strony słabe, świadczy o intencyi dobrej, mianowicie zaś o nieistnieniu, zaznaczonej przez I. F., wedle Berwińskiego i Pola, w sercach „polaków galicyjskich *nienawiści* do ludu, do tych rizunów, hajdamaków.“ Istniało rozżalenie, istniała pretensya — nie do ludu jednak. Rzeź r. 1846 doskonale rozumianą była w Galicyi i po za Galicyą we wszystkich warstwach społeczeństwa szlacheckiego— *Lettre d'un gentilhomme polonais* (Wielopolski). Uwolnienie i uwłaszczenie ludu na seryo wziął nie jeden tylko Sanguszko: oglądałem fakt dopełniony w Złoczowskiem przez szlachciców drobnych, przez dzierżawców nawet, co gruntów darowywać nie mogąc, pańszczyzny się zrzekali. Autonomia istotna mogłaby może z faktu tego wysnuć następstwa nie takie, na jakie obecnie Galicya choruje. Sankcyonowanie faktu jednak nastąpiło *antydatowane*. Kto w Galicyi gospodaruje?

Fakt drugi. Ów „patryotyzm romantyczny,“ którego znaczenia nie rozumiem, z Tarnopola, ze Lwowa, zewsząd powypędzał był jezuitów. Wypędzenie odbywało się nieprzyzwoicie, przy akompaniamencie różnych wybryków manifestacyjnych, brakło mu powagi; za to z powagą całą jezuici zostali napowrót wprowadzeni i zainstalowani. Uprawomocnił to konkordat, do którego żaden z „polaków galicyjskich“ ręki nie przyłożył. Fakt, przez nich dokonany, fakt, na którym by i polacy i rusini wyjść mogli nie najgorzej, sankcyi nie uzyskał. No?...

Jak z pańszczyzną, jak z jezuitami, tak ze wszystkiem. Spraw niektórych na drogę ustawodawczą wprowadzać nawet nie można, naprzykład: sprawy kalendarzowej i alfabetowej, których rozstrzygnięcie stosownie do życzeń polskich przyniosłoby nie małe korzyści ekonomiczne i przyczyniło się znacznie do wprowadzenia harmonii pomiędzy dwa szczepy, złączone wspólnością interesów, wspólnością granic i wspólnością panowania. Ale — niechże sejm uchwali takie sromotne, głupie i szkodliwe prawo, jak rozdział gminy na dworską i włościańską, niech uchwali ustawę taką, jak ustawa drogowa, lub taką, jak propinacyjna, a sankcya na siebie czekać nie każe. Wolno mu obracać się w kółku pewnem, lecz po za te kółko wyjść nie wolno, chociażby miał ochotę, której mieć nie może, dzięki nie przez „polaków galicyjskich“ ułożonemu prawu wyborczemu, ułożonemu tak dowcipnie, że fabrykuje większość gotową dziś powzięte postanowienie cofać nazajutrz, z powodu wskazówki, nadesłanej z Wiednia drogą telegraficzną. Konstytucyonalizm galicyjski nie na to jeno choruje, że się opiera na podstawie kapitalistycznej, tkwiącej w gruncie ustroju społecznego wszystkich narodów europejskich, ale na to jeszcze, że stoi na piasku, że jest jutra niepewny, że bez „zamachu stanu“ uciśnięty być może, że reprezentuje się kuryalnie za pomocą wyborów kierowanych i dozorowanych przez starostów— urzędników państwowych. Ujęty w klamry takie iść jeno może za wskazówkami z góry i za grzechy swoje wołać do niebios: „Panie, karz rękę, nie ślepy miecz!“

Gdyby nie to, Galicya mogłaby do Wiednia na przedstawicieli swoich dobierać ludzi innych i poczynać sobie śmielej. Możeby ci sami nawet mieli odwagi więcej, zwłaszcza gdyby kraj, przez nich reprezentowany, nie był, w porównaniu z innymi, we względzie liczebnym upośledzony. Inne kraje koronne wysyłają jednego przedstawiciela na 60,000 wyborców, Galicya wysyła jednego na 90,000. Nie świadczy to o stopie równości w obliczu konstytucyi, która z drugiej znów strony, w odniesieniu do działań sejmu krajowego, zapewnia rządowi dowolność nietylko dobierania go, jak mu się podoba, ale także ograniczenia trwania sesyj. Zaledwie się wybrańcy narodu na obrady zgromadzili, aliści rozchodzić się muszą. Sprawy najważniejsze załatwiają się z pośpiechem gwałtownym, tak, że zwoływania owe sejmu wyglądają na żart — na rodzaj komedyi reprezentacyjnej, mającej na celu nie zaspakajanie potrzeb krajowych, ale zabawianie opinii publicznej i wysiewanie mężów stanu. Przez przetak sejmów galicyjskich przesieli się Smolka, Ziemiałkowski, Dunajewski, Gołuchowski, Potocki i sporo innych ekscelencyj, pomiędzy którymi Gołuchowski przedstawia objaw ciekawy i charakterystyczny. Namiestnikował on dwoma nawrotami: za pierwszym razem był to centralista przekonany i tępiciel polonizmu zawzięty, za drugim razem wystąpił jako federalista przekonany i romantyk patryotyczny prawie gorący. Temperatura jego patryotyczna w jesieni roku 1866 dochodziła stopnia temperatury redaktora ówczesnego *Gazety narodowej*, następnie zniżyła się niecco, utrzymywała się jednak zawsze wyżej zera i upamiętniła się ubraniem patryotyzmu polskiego w kołnierze złotem szyte, jako też jedną przysługą rzeczywistą: wydobyciem i na właściwy użytek obróceniem pozabieranych na różne inne cele funduszów stypendyalnych szkolnych. Zresztą, z wyjątkiem korzyści tej, ze wszystkich ekscelencyonowanych wysiewków sejmowych lwowskich Galicyi w zysku nie okroiło się nic i okroić się na drodze, jaką prowadzoną była, nie mogło. Z zanotowanego powyżej antydatowania dekretu wyrodzić się musiało prawo rozdziału gmin, z rozdziału gmin — wzajemne szlachty i chłopów podejrzewanie się o złe zamiary. Z zanotowanego również powyżej sprowadzenia wygnanych przez romantyków jezuitów wysnuć się musiało obniżenie pojęć przewodnich i pokrzywienie linii głównych. Nastąpiło z wysuniętego o tyle o ile naprzód posterunku postępowego cofanie się na łeb na szyję, połączone z wywracaniem koziołków i padaniem na nosy, dokonywanem *de propos délibéré*, w imię oportunizmu, występującego pod postacią trzymania się klamki wiedeńskiej i nasłuchiwania, co tam za drzwiami szeleści. Szelesty za drzwiami owemi, wyszrubowane do znaczenia tajemnic stanu, wytworzyły dyplomacyę chorobliwą, oglądającą się we wszystkiem i ze wszystkiem na Wiedeń i nie mającą dla siebie ujścia innego, jak na drodze karyery osobistej. Być po głowie pogłaskanym; usłyszeć pochwałę — „lebski polak;“ usłyszeć komplement — *schön aber dumm*: — oto jak najnowszej doby galicyanin przeciętny szykuje sobie cel pragnień osobistych i dążeń

— Strzeż się! — zawołał gołąb przerażony.

Kruk spojrzał, zakrakał i szybko wzniósł się w powietrze.

Z przestrachem a śpiesznie wracał gołąb do arki; kruk dążył za nim w ponurem milczeniu. Nakoniec u celu podróży szepnął:

— O mało nie zginąłem; prawda, świat by na tem niewiele stracił, jednak jestem ci wdzięcznym za przestrogę, a w razie niebezpieczeństwa licz na mnie.

W arce, gdy ujrzano gałązkę, powstała wielka radość. Noe zbudował ołtarz, na nim ułożył wiązkę drew, na stosie najlepszego baranka i drwa podpalił.

Kruk szepnął gołębiowi:

— Widzisz, czem człowiek wyraża radość — krwią; a te głupie jagnię milczy, żeby przynajmniej beczało!.. Niechby człowiek swoje dzieci palił — nie! nas gnębi i wszędzie nas; mówiłem ci, nie nieś gałązki

— Nie złorzecz — gruchał gołąb — bo człowiek mógłby sam zużytkować baranka, tymczasem odmawia sobie, żeby zrobić z niego dziękczynną ofiarę.

— Odmawia! — wrzasnął kruk — na ofiarę zabija jednego, a sobie drugiego i wszędzie krew i krew... a ty jeszcze mówiłeś: omyj się z krwi. Tak, ludzie lubią jej zapach.

— Żarłoku — niecierpliwił się gołąb — tybyś pewno nie złożył ofiary, bo nawet nasycony siedziałbyś jak sęp i pilnował twego łupu, czekając głodu.

— Głupstwa prawisz marzycielu! Patrz: pagórki i doliny napełnione trupami; ile ich mógłbym na ofiarę spalić, a nie czynię tego. Nie czynię, bom nie człowiek, bo rozumiem, że ofiara z cudzego ciała i krwi jest okrutnym żartem.

Uciekł gołąb pełen zgrozy — trapiła go złośliwość czarnego ptaka.

* *
*

Minęło trzy lata po potopie. Ziemia zapomniała o nieszczęściu i ubarwiła się zielonością. Ptaki i zwierzęta znowu zasiedliły ją.

Noe wyprawiał wielką ucztę. Po biesiadzie małe a żwawe pacholę wybiegło z domu, ujrzało gołąbka.

— Ja go zabiję i będę miał na jutro pieczyste — pomyślało; wzięło kamień i zaczęło się czaić.

W tej chwili zjawił się w powietrzu kruk i tkwiąc w górze, krakał:

— Idealisto! chłopak na ciebie czyha — strzeż się!..

— Jestem spokojny — odgruchnął gołąb — dziecię bawi się. Ono syte, po co ma zabijać!..

— Mówię ci — uciekaj! Potwór, od którego mnie ostrzegłeś, czyha tylko głodny; ten zaś potwór zawsze głodny, zawsze żarłoczny?

— Zawsze złośliwy jesteś! — odparł gołąb... a w tej chwili kamień, rzucony żwawą ręką, uderzył go po główce.

Upadła ptaszyna i ducha wyzionęła.

Chłopiec porwał gołębia i ucieszony pobiegł do domu.

Tymczasem kruk, kracząc przeraźliwie, krążył tuż nad jego głową. Chłopiec wiciną uderzył go. Ptak upadł.

Uradowany malec rzuca wicinę i spieszy schwytać drugą zdobycz, która jeszcze żyje... trzepocze się, targa i umyka; on goni. Ot już nachyla się, już ma porwać, kruk dobywa sił i ucieka. Roznamiętniony chłopiec zapomniał o wszystkiem, pędzi, nie bacząc, że dopadł zarośli nad urwiskiem. Już dotyka ptaka małą rączką, już go chwyta; ale w tej chwili spada w przepaść. Kruk ironicznie a zwycięsko zakrakał i wzniósł się w górę. Potem spuścił się na dół, usiadł na piersi chłopca, chciwie czeka ostatniego drgnienia i zaczyna wyrywać mu oczy z czoła. Nasyciwszy zemstę i żarłoczność, zwrócił się do gołębia, który leżał tuż na ziemi.

— Tak! — zakrakał — nie wierzyłeś mi, naiwny biedaku!.. Nawet w twojem martwem spojrzeniu, ile łagodności i dobroci! Pomściłem twą śmierć z narażeniem własnego życia. Śpij przyjacielu!.. Teraz już ci oczy niepotrzebne!..

patryotycznych. A nie jest on ani rusinem, ani polakiem; jest to galicyanin aspirant, torujący sobie drogę, bądź nawprost przebojem, bądź ubocznie na Berdyczów. Bo niewiadomo, jak wypadnie. Rząd wiedeński rozpoczął erę konstytucyjną od faworyzowania rusinów; obecnie faworyzuje polaków; jutro do rusinów nawróci. Jedni i drudzy liczyć mogą na szansę. Dziennikarstwo, w którem ci i ci składają „uczuć swoich kwiaty i myśli swoich przędzę,“ przedstawia się, jako arena współzawodnictwa, którem przy okazyi bywa parlament. Donoszą jedni na drugich i oskarzają się wzajemnie przed dzierżącymi berło opinii publicznej w Austryi — żydami.

Trudno, ażeby ci, co w hecy tej udział biorą, widzieli ją tak, jak się ona pokazuje patrzącemu uważnie z boku. Nie jest ona zaiste budująca. Smutek serce ściska, gdy się pomyśli, że Galicya mogłaby, przy innych warunkach, zrobić wiele, a nie jest w stanie nawet nafty swojej od wyzysku fiskalnego ochronić. Stan jej ekonomiczny jest pochylaniem się w przepaść; stan społeczny wykazuje w perspektywie możliwość katastrofy najgłupszej; stan polityczny przedstawia się pod postacią sporów zawziętych o szerść kozią; stan cywilizacyjny wyraża się za pomocą posuwania się w kierunku wstecznym. Smutno — smutno! Gdybym był galicyaninem polakiem, obwiniałbym rusinów; gdybym był galicyaninem rusinem, obwiniałbym polaków; albo też obrałbym drogę pośrednią i, otoczywszy się kłębami dymu filozoficznego, usunął się w kącik humorystyczny. Nie będąc tym, ani owym i nie smakując w dymach filozoficznych, obwiniam rękę, co głaszcze i popycha w kierunku nie tym, ale tym. Dla Austryi Galicya stanowi pod względem państwowym, ekonomicznym i politycznym rodzaj przystawki, obchodzącej ją o tyle, o ile jest rezerwoarem militarnym, dostarczającym w najlepszym gatunku rekruta. Dlatego po głowach głaszcze i po ramionach klepie tych *kerlen*, którym na to, ażeby się w szeregach dobrze prezentowali i powinność bojową należycie pełnili, nie potrzeba ani zgody szczepowej, ani harmonii społecznej, ani oświaty, ale tylko — zapatrzenia się w Austryę. Fakt jest: Austrya korzysci innych z Galicyi nie ciągnie, nie chodzi więc jej o co innego, jak o to, ażeby się „kawki“ i „orły“ rozmiłowały w kolorze czarno-żółtym, cieszącym się protekcyą szczególną kościoła katolickiego, któremu znów szczególnie „niepotrzebną jest oświata.“ Gdy kolega Iwan Franko uwagę na niedomagania ogólnego Galicyi przyczyny źródłowe zwróci, może mi nieco racyi przyzna i zdejmie w części odpowiedzialność z „polaków galicyjskich,“ którzy tem głównie zawinili, że, zaniechawszy *liberum conspiro*, przesadzili w faworach „rusinów galicyjskich.“ Na faworach tych sami jaknajgorzej wychodzą. Cóż więc?— jaka na to rada?...

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Międzynarodowe *enfant-terrible*, książe bułgarski nie daje na chwilę zasnąć spokojnie dyplomacyi europejskiej; otrzymuje on upomnienia i nagany, wysłuchuje spokojnie groźb, skierowanych zresztą nie wprost do niego, lecz do Porty i niepoprawny brnie dalej, wbrew postanowieniom „zbiorowej woli“ Europy. Teraz znowu nałożył cło na towary sprowadzane z Turcyi, co jest już nietylko naruszeniem praw politycznych, ale i umów handlowych. Ze sposobności tej skorzystała Francya, aby wystąpić przeciw Bułgaryi, a raczej zaznaczyć zgodność swej polityki z rosyjską.

W ostatnich dniach dzienniki mówiły wiele o przymierzu, zawartem jakoby pomiędzy Turcyą, Bułgaryą i Rumunią; że układy między dwoma ostatniemi państwami toczą się — nie ulega wątpliwości, że Turcya chętnie powita związek, który w części chociaż zabezpiecza na wypadek wojny jej posiadłości europejskie — równie jest jasnem. Ale sprzymierzeńcy nie są dosyć silni, ażeby stawić poważny odpór, szukają więc dla sojuszu swego możnych opiekunów. Zapewne w związku z temi poszukiwaniami jest właśnie podróż księcia Aleksandra, który nagle, jak donoszą telegramy, znalazł się w Peszcie.

W ostatnim tygodniu czarnogórcy napadli na posterunki tureckie, nie wiadomo jednak, czy krok ten uważać należy jako umówione z góry rozpoczęcie zawieruchy, czy też jako zwyczajną bójkę graniczną; prędzej to ostatnie chyba, bo na wykrzesanie nowej iskry hercegowińskiej jeszcze zawcześnie, dzisiaj nikt nie ma chęci ani możności rozdmuchiwać jej w pożar ogólny.

Wybory do parlamentu angielskiego odbywają się już od dni dziesięciu, ale niepodobna jeszcze przewidzieć ich rezultatów. Zachowawcy mają dotychczas wielką przewagę, która wszakże nie daje podstawy do wnioskowania o ich zwycięstwie. Dotychczas głosowały dopiero miasta, które w znacznej części wybierają zawsze torysów, Gladstone liczy najwięcej na okręgi wiejskie, zwłaszcza zaś na nowe kategorye wyborców, zawdzięczające mu swój udział w życiu parlamentarnem. Agitacya wyborcza odbywa się nader gorąco; w Londynie jednego kandydata o mało nie udusili przeciwnicy, drugiego zaś tak zbili, że w parę dni potem umarł. Najpoważniejsze rozruchy miały miejsce w Dublinie, gdzie irlandczycy napadli na klub zachowawców, w walce padło kilkudziesięciu rannych i kilku zabitych; dopiero wojsku i policyi udało się rozpędzić roznamiętnione tłumy.

Rząd niemiecki stosuje z bezwzględną surowością zakazy wszelkich stowarzyszeń polskich; pomimo protestu rektora i profesorów uniwersytetu we Wrocławiu, rozwiązano tam wszystkie związki młodzieży polskiej, chociaż niektóre z nich istniały oddawna pod ścisłą kontrolą władzy szkolnej, inne zaś miały tylko cele naukowe, jak np. towarzystwo studentów-medyków i t. p.

W Bawaryi rządzące dotychczas krajem ministeryum narodowo-liberalne, musiało wskutek oburzenia powszechnego podać się do dymisyi; było to tembardziej właściwem, że w Izbie większość głosów posiadają katolicy i separatyści. W Berlinie jednak nie życzono sobie zmiany gabinetu i wyrażono to jasno, regent państwa poprosił więc p. Lutza o objęcie napowrót steru rządu.

Nielepiej od niemieckiego wygląda konstytucyonalizm austryacki. Hr. Taaffe mianował znowu ministrem urzędnika, nieposiadającego mandatu poselskiego, hr. Becquehema, prezydenta Szląska, młodego, zrujnowanego arystokratę i w dodatku stronnika lewicy niemieckiej. Posłowie polscy krzywią się na to mianowanie, ale,

---

To mówiąc, wpił się żarłocznym dziobem w oko przyjaciela.

II.

Mrzonka młodości.

Podaj mi rękę, idealna istoto — tyś celem mego życia. W snach dziecięcych widywałem anioła: nim byłaś ty.

Gdym słuchał szumu drzew na mogile mej matki, słowik rzewnie dźwięczał w gałęziach — śpiewał o tobie.

Gdym młodzieńcem marzył o nadziemskich cudach, o zaklętych królewnach, o krainach wiecznej wiosny i wiecznego szczęścia — tyś zawsze była ze mną.

Gdym słyszał w świątyniach o umęczonych dla prawdy, miłości i cnoty — twój obraz widziałem przed sobą.

Złotymi promieniami drga zorza poranna i rzuca purpurowy blask dokoła — to świeci oko twoje.

Prowadź mnie, gwiazdo przewodnia, oderwij od kurzu ziemi, wznieś na twych skrzydłach, uświęć, bom mizerny robak padołu.

Wskaż mi drogę, naucz, jak mam pełnić mą powinność względem braci. Włóż na me barki ciężar wszystkich cierpień i łez ludzkości.

Umysł mój, ćwiczony badaniem sprzeczności zasad ludzkich, zrozumie twój głos. Ramię moje, zahartowane pracą, nie zawiedzie cię.

Marne błyskotki są niczem — duch boży nie ożywia ich. Piękno jest w duchu; świadomością zaś prawa życia wobec natury — praca.

Patrz, wiosna! Strumyki spadają kaskadami; szemrzą, a zielone listki szlą woń; łąki przybrały się kwiatami; ptaki szczebioczą — one wzywają nas — pójdźmy!

Kędziory twe uroczo igrają z zefirem i zdobią czarodziejskimi cieniami twe oblicze. Weź niezabudkę, niech ubarwia twe czyste łono; bierz różę, niech ozdabia twe czoło.

Tyś czysta, jak kropla majowej rosy; usta twe — kielich, z którego piją nektar bogi.

Chodź ze mną! Niech uśmiech twój, jak słońce, oświeca drogę mego życia i ożywia moje istnienie.

Tyś moja, żadna władza niebios i ziemi nie oderwie cię z mego łona; tyś mem istnieniem — bez ciebie jam nic.

Twe czoło zasępiło się!.. To tylko ciemna chmura zakryła mi niebo... Co ci jest?

Jeśli me słowa nierozważne — przebacz! Nie powinny cię obrazić, jak robak nie może obrazić ołtarza, na którym znalazł się przypadkiem.

Zajrzyj w moją duszę, przejrzystą aż do głębi; ona tylko modlić się umie przed tobą. Boże!.. Ona odchodzi. Ona mnie porzuca na rozdrożu!.. Miła, święta, obejrz się na mnie!..

Nie spojrzała.

* *
*

Nastała jesień ciemna i mglista. Rzeka niesie w szerokich ramionach zaspy lodu. Pożółkły liście, zginęły kwiaty, zginęły mrzonki.

Na cmentarzu dla biednych wznosi się nowy grób, w nim zawarto wszystko, co żyło, wrzało, unosiło się na skrzydłach wyobraźni do nieba.

Wszystko znikło.. tylko wiatr jesienny zrywa z bliskich drzew pożółkłe liście i rzuca na kurhany samotne.

A ona?

Ona ma jasne czoło, promieniste oczy, czarodziejskie ruchy.

Jej szyja, ręce, włosy i pierś ubarwione brylantami, które iskrzą się i wabią ku sobie oko...

Oko tego, który ją kupił na targu powszedniego życia.

(D. c. n.).

Brolis.

jak zawsze, „z wyższych względów“ milczą.

Francuski minister wojny, generał Boulanger, popierany przez radykałów, prowadzi zbyt energicznie t. zw. oczyszczenie armii i kłóci się nietylko z kolegami swymi w rządzie, ale i z generałami, zajmującymi wyższe stanowiska. Awantura z generałem Saussier, dowódzcą korpusu paryskiego, uważanym za najlepszego obecnie strategika i przyszłego bohatera wojny odwetowej, zakończyła się pogodzeniem zwaśnionych, ale zrobiła ministrowi wielu nieprzyjaciół, dążących do usunięcia go od władzy, co znowu byłoby dla radykalnych hasłem do wystąpienia przeciw rządowi. Przesilenie ministeryalne jest więc bardzo możliwem.

W Belgii bezrobocia trwają ciągle, od czasu do czasu zaś powtarzają się zaburzenia uliczne; takiego naprężenia stosunków długo wytrzymać niepodobna, skończyć się ono musi gwałtownym przewrotem, czy to rewolucyą, czy zupełną reakcyą.

BADANIA NAUKOWE.

USTRÓJ SPOŁECZNY
U LUDÓW PIERWOTNYCH.

III.

Gmina pelauszczyków jest już wytworem dłuższego rozwoju społecznego, gdyż powstała wskutek oddziaływania na się kilku blayów nie zawsze pokrewnych; w ten sam sposób, pod wpływem jednych gmin na drugie, rozwinęły się na wyspach Pelau jeszcze szersze związki — *federacye gmin kilku*, o zasadzie następującej: blaye, kaldebekele i osoby tego samego numeru porządkowego uważają się jako równe sobie. Sama sprawa takiego uspołeczniania gmin pojedynczych w związki wyższe odbywała się i odbywa drogą różnoraką: dwie łączą się na prawach zupełnej równości w celach wzajemnej obrony oraz wymiany pokojowej kobiet pod postacią armengolów i blolokolów, jest to związek gmin niepokrewnych; lub też z powodu wzrostu gminy, część ludności emigruje i osiedla się oddzielnie, zachowując związki przyjacielskie ze swą macierzą — w razach takich obcowanie małżeńskie doznaje ograniczeń, a stosunki wszystkie sprowadzają się do przymierza wzajemnej solidarności. Wreszcie gmina jedna względem drugiej znajdować się może w stosunkach haraczu — mianowicie gdy jedna osiedla się na gruntach drugiej lub też została pokonana w walce, a haracz uiszcza się pod postacią kobiet, wysyłanych do armengolu gminy przewodniczącej. Atoli zawsze i wszędzie rozwojowi takiemu wyższej jednostki społecznej na wyspach Pelau — związkowi gmin kilku, przyświeca ta sama idea zasadnicza: każda gmina w swych częściach składowych winna pozostać nietkniętą. Wobec tego „gmina oddzielna w żaden sposób nie wzrasta terytoryalnie lub społecznie drogą podbojów, do tego dojść może jedynie wskutek płodności swych kobiet. Nie mogło też powstać żadne państwo trwałe z zarządem centralistycznym, tylko federacya gmin, które w życiu swem wewnętrznem piastują niezależność zupełną i związane są przymierzem wzajemnem tak długo, pokąd tego wymaga ich słabość liczebna.“

Oto w zarysach najogólniejszych szkielet pożycia społecznego pelauszczyków, o całe niebo odmienny od tego, jak kreśli go tom V *Antropologii* Waitza. Nie masz tu ani „króli,“ coby w swem ręku, jako „swą własność wyłączną“ dzierżyli grunta, ani „szlachty dziedzicznej.“ Wszystko okazało się przywidzeniem podróżników, domieszką subjektywną z ich strony, jak to odgadł Ziber — jeden z dowodów przemawiających za reprezentowaną przezeń teoryą rozwoju społecznego. Z drugiej znów strony, wbrew orzeczeniom Spencerów, Lubbocków i in., widzących w ludach pierwotnych li tylko „jednolitą, chaotyczną i niepowiązaną sumę jednostek,“ ustrój społeczny pelauszczyków (zaliczanych jak wszyscy wyspiarze oceanu Spokojnego do szczepów najniżej położonych w hierarchii ludzkiej) okazuje się nader zróżniczkowanym, a przedewszystkiem nader spójnym w swym całokształcie i określonym w swych funkcyach. „W zachowaniu się wzajemnem ludności — powiada Kubary — panuje drobiazgowa ścisłość i niewzruszony porządek, wśród którego każda jednostka pojedyncza świadomą jest swego stanowiska i wynikającego stąd trybu postępowania.“ Stosunki małżeńskie (a pod to pojęcie wtłaczamy wszelkie stosunki dozwolone zwyczajem między obiema płciami) i pokrewieństwa, organizacya hierarchiczna rodu, hierarchia rodów oddzielnych w gminie, kaldebekele i ich ustrój, blolokole i armengole, wreszcie federacye gmin kilku — wszystko to nosi na sobie piętno nie jakiejś dorywczości, lecz przeciwnie, co krok zdradza zupełne ułożenie się stosunków. Samo postępowanie prywatne reguluje się prawem zwyczajowem, zawsze obecnem i wyrytem w umyśle każdego pelauszczyka. Nie dość tego. Rozpatrując ustawę społeczną wyspiarzy z Pelau i porównywając ją z ustawami innych ras „najdzikszych,“ dojść musimy do wniosku, że organizacya ta, mimo swe niskie szczeble, nosi znamiona dłuższego już rozwoju. To zjednoczenie rodów oddzielnych w gminie jednej, i do tego rodów nie zawsze pokrewnych, to uszeregowanie ich następne w porządku stałym, owe kaldebekele i armengole nigdzie prawie nienapotykane, itd. — wszystko to nie odrazu zostało spłodzone przez jakiegoś prawodawcę, nie spadło pewnego pięknego poranku z nieba, lecz stanowi płód nader długiego procesu rozwojowego. Jak proces ów kroczył, zdołamy to sobie uobecnić, skoro wskrzesimy w umyśle swym rezultaty studyów Morgana, Fisona i in.

Pierwszym zawiązkiem społeczeństw jest, że tak rzekniemy, stado ludzkie, nieznające żadnych ograniczeń w obcowaniu małżeńskiem, nie ma tu ani ojców, ani dzieci, braci lub sióstr, gdyż istnieje tylko mężczyzna i kobieta. Z takiego stanu rzeczy, pod wpływem doboru naturalnego, zaczynają wyosabniać się grona ciaśniejsze wspólnych małżonków — stado pierwotne rozpada się na warstwy generacyj bezpośrednich, a więc dziadów, rodziców, dzieci, wnuków. Wśród każdej generacyi odrębnej panuje nieokiełznana swoboda małżeńska, siostry wszystkie są żonami braci, a wszyscy stryjowie — ojcami generacyi następnej. Atoli wyosabianie nie ustępuje; szranki obcowania płciowego ulegają zwężeniu, aż wreszcie jednolita pierwotna gromada rozpada się na części (tak zwane rody), związane w jedną całość wzajemną eksogamią, wewnątrz których wszakże stosunki małżeńskie są surowo zakazane. Typ ten ostatni pożycia społecznego w jego formie najniższej odkryli w Australii Howitt i Fison. Plemiona tutejsze rozpadają się na dwie części, np. plemię z pod gór gambierskich na kumitów i krokosów. Wszystkie kobiety z pośród kumitów są żonami bez różnicy każdego krokosa, wszyscy znów kumici są mężami wszystkich kobiet z podplemienia krokosów, a takie prawa wzajemne szeroko bywają praktykowane na wspólnych uroczystościach. Jest to małżeństwo nie jednostki z jednostką, lecz grupy z grupą. Ostatnie ślady takich małżeństw napotykamy jeszcze wśród pelauszczyków — bo czemże innem są owe armengole i blolokole oraz oddawanie się młodej dziewczyny wszystkim mężczyznom osady? Atoli na tej podwalinie wykluło się już obcowanie dwóch określonych jednostek w postaci trwalszych związków małżeńskich, w jakie wstępuje dziewczyna po przejściu pierwszych lat młodości.

W porównaniu z ustrojem społecznym, zbadanym w Australii, wyspy pelauskie przedstawiają już spory krok naprzód — być może, ku temu przyczyniło się wielce przykucie mieszkańców do nieznacznej przestrzeni wysp kilku, gdzie z konieczności zaprzestać musieli koczowniczego trybu życia a rozpocząć osiadłe, wskutek czego i ustrój społeczny skomplikował się do niepoznania w porównaniu z prostym ustrojem społeczeństw pierwotnych. Na tej grupie wysp widzimy już zatem nie pierwociny społeczne (które też nigdzie nie ostały się pono na globie ziemskim), lecz wynik dłuższego procesu dziejowego, w którym byśmy zdołali zarysować nawet pojedyncze etapy, gdyby brak miejsca nie stawał na zawadzie.

Co więcej, ustrój pelauszczyków już tak skomplikował się, że stanowi przejście ze społeczeństwa rodowego do terytoryalnego. W organizacyach rodowych jądro, dokoła którego skupia się całe pożycie społeczne, stanowi samica-matka, a więzami, łączącymi ludzi w jedność społeczną, są ścięgna pokrewieństwa. Mężczyzna gra rolę drugorzędną, jest niby przydatkiem, acz koniecznym wobec kobiety. Taka konstrukcya społeczna powtarza zasady, na których wznoszą się społeczeństwa zwierzęce: ule pszczół, mrowiska — ognisko społeczne stanowi tu samica-rodzicielka, a samce są jedynie zapładniaczami, na czem kończą się ich wszystkie funkcye. Lecz wróćmy do pelauszczyków. Życie tutejsze skupia się w domostwach rodowych, dokoła blayów, utrzymywanych w istnieniu przez kobiety. Kobieta-matka stanowi więc podwalinę blayu, tej zasadniczej jednostki społecznej. Czem zaś jest wobec niej mężczyzna? Odpowiemy na to słowy naszego etnografa-podróżnika: „Śledząc za przebiegiem życia mężczyzny, widzimy, że swą młodość spędza, że tak rzekniemy, bez wyrobku na przyszłość. W domu obokula lub rodziców jest jedynie gościem codziennym, nocą musi przebywać w bayu — i to nie dlatego, że jest członkiem kaldebekelu, lecz ponieważ zwyczaj nakazuje trzymać młódź męską zdala od domu rodziców. Również jako małżonek nie ma prawa kosztować wczasu z swą żoną w domu teściów, gdyż w zmroku nocy wraz z połowicą swą winien wędrować do jakiegoś opuszczonego a odludnego budynku, aż póki na ojczyźnie nie założy własnego ogniska. Atoli i wtedy nie lepiej, bo i naonczas kaldebekel pochłania większą połowę czasu, opanowując zupełnie jego sposób życia i poglądy. Jak wśród greków starożytnych, sprawy gminy całą zabierają uwagę — wszystko tu jest kwestyą publiczną, tak, że zaledwie zdoła on udać się na połów ryb na swe potrzeby. Żyje więc, naprózno chcąc spleść harmonijnie te wykluczające się żywioły. Interesy rodu zagarniają jedną połowę życia, a drugą pożycie małżeńskie — wśród tych biegunów snuje się żywot jego, pełen teraźniejszości, lecz bez rezultatów na przyszłość.“ Prócz takiego dorywczego życia ze strony mężczyzny i wysunięcia na plan pierwszy kobiety-rodzicielki, u pelauszczyków spotykamy jeszcze inne cechy ustroju rodowego: hierarchia społeczna wśród blayów opiera się na wieku, jak to widzimy w postaci obokulów i najstarszych kobiet rodu, atoli te ogniwa najwyższe hierarchii rodowej zgoła nie posiadają despotycznej władzy ojców rodziny patryarchalnej, gdyż we wszystkich sprawach po za obliczem „naczelników,“ ukazuje swą twarz gmin rodowy, kontrolujący postępowanie swych głów.

Społeczeństwo pelauskie przedstawia, jak rzekliśmy, nieco więcej nad ustrój rodowy, nosi już bowiem w swem łonie zarodki rozkładu a pierwociny ustroju terytoryalnego, tej negacyi społeczeństw pierwotnych, opartych na związkach krwi. Społeczeństwa terytoryalne utrzymują się nie siłą pęt pokrewieństwa, lecz wzajemną zależnością stosunków polityczno-ekonomicznych; stanowisko człowieka określa się nie jego wiekiem lub stopniem pokrewieństwa, lecz przywilejem; zamiast naturalnego wzrostu drogą płodności swych kobiet, wzrasta ono w sposób przymusowy, za pomocą podbojów. Proces ów wyłaniania się ustroju terytoryalnego z rodowego, kroczący żywiołowo, nieświadomie dla samych uczestników, jak wogóle wszystkie dotychczasowe procesy społeczne, zapuścił już głęboko swe korzenie w pożycie społeczne wyspiarzy z Pelau. Wśród gminy tutejszej mamy już gradacyę rodów, i do tego obcych sobie i niepokrewnych — lubo bowiem wyżej położone muszą nieść większe ciężary społeczne, przecież to stanu rzeczy nie zmienia, że pośród gminy rodowej poczyna grać rolę pierwiastek nieznany w ustroju rodowym — dziedziczne pierwszeństwo pewnych rodów. W ten sposób powstawała szlachta — badania Maurera i Landau nad marką teutońską, Nassego — nad anglosaską a Maine'a — nad gminą rolną hinduską dostatecznie to wyświetliły. Pierwszeństwo jednych rodów — to zawiązek stosunków feudalnych, wśród których uprzywilejowany ród (lub wśród niego uprzywilejowana jakaś gałąź) uwalnia się w procesie rozwojowym społeczeństwa od obowiązków wszelkich, zagarniając natomiast prawa wszystkie i zwalając wszystkie ciężary na pozostałych członków plemienia (lub rodu), które w ten sposób z wolnych jednostek zamieniają się na poddane rodowi uprzywilejowanemu, przywłaszczającemu zarazem prawa zwierzchności administracyjnej i religijnej oraz dotychczas zbiorową posiadłość gruntów — w swój przywilej dziedziczno-indywidualny. Nawet to oddawanie się dorastającej dziewczyny z kolei wszystkim mężczyznom gminy, poczynając od naczelnika nr 1, nie omieszkałoby przyjąć innej formy — formy prawa pierwszej nocy, jak to widzimy na przykładzie feudalnej Europy. Nie dość tego, gdyż na Pelau, krom tak uprzywilejowanych rodów widzimy jeszcze nieco więcej — spostrzegamy bowiem już zawiązki państwa, tej kwintesencyi społeczeństwa terytoryalnego. Weźmy te związki dwóch lub więcej gmin, co oparte są na haraczu, a powstały stąd, że gmina jedna zwyciężyła drugą lub osiedliła się na obcych gruntach — z obu tych przypadków krok tylko jeden do dalszej feudalizacyi ustroju rodowego. Trzeba jedynie domieszki czynników zewnętrznych, a rozprzęganie się takie ukształtowania rodowego i wyłanianie społeczeństw państwowych pójdzie szybciej, w oczach uczestniczących jednostek przybierając kształty namacalne, jako proces wywołany z zewnątrz, przez obce jakieś potęgi. Dość, żeby wylądował człowiek biały, odzwierciedlający kategorye ustroju terytoryalnego, by w obokulu zoczył „króla," w dziedziczności hierarchii blayów — dziedziczność uprzywilejowaną, w zbiorowym majątku rodu — prywatną własność „króla," w stosunku haraczowym lub lennym — stosunek państwowy, by wreszcie postępowaniem odpowiednim, zaczerpniętem z podłożenia pod instytucye rodowe kategoryi terytoryalno-państwowych roztlił dalej tkwiące pierwiastki rozkładu i nadał sankcyę zamachom ze strony kiełkujących przywilejów na swobodę społeczną, a organizacya terytoryalna rozniesie i unicestwi węzły rodowe. W ten sposób anglicy w Indyach Przedgangesowych stworzyli nieznaną tu dotyczas szlachtę feudalną — czytelnik znajdzie skreślenie procesu tego w dziełach Maine'a. To samo powtarza się obecnie na wyspach pelauskich, gdyż okręty europejskie, biorąc pod opiekę swą pewne rody lub gminy, użyczają im tem samem poparcia w ich tendencyach zaczepno-drapieżnych. Atoli, wskutek śmiertelności, która rozsiadła się nad tym szczepem pierwotnym lub raczej wskutek niepłodności kobiet, zamiast feudalizacyi ustroju rodowego, to wdanie się potęg zewnętrznych przyspiesza li tylko wymieranie wyspiarzy.

Kubary jaskrawo kreśli jak ta olbrzymia, bo 12-procentowa przewyżka śmiertelności nad płodnością zmniejsza kaldebekele, unicestwia blolokole, rujnuje zwyczaj armengolu. Lat jeszcze kilka, być może kilkanaście — a po tej rasie pierwotnej, co zaludniła wyspy oceanu Spokojnego, nic nie zostanie, krom licznych opowieści fałszywych, próbkę których przytoczyliśmy z Waitzu, prócz kilku prac sumiennych w rodzaju Howitta, Colenso lub Kubarego, wreszcie prócz okazów broni i narzędzi wśród muzeów. W ojczyźnie kaldebekelów rozłoży swą siedzibę człowiek cywilizowany, nie pomnąc, że depcze po ziemi szczepów obcych, którym być może przyniósł śmierć i zgubę — zaledwie jakiś André lub Quatrafages będzie opłakiwał zgon przedwczesny tych ludów pierwotnych, niepozwalający nauce na drobiazgowe i sumienne zbadanie ich bytu...

Lud. Krz.

PSYCHOLOGIA ZWIERZĄT.

II.

Zasadnicze pytanie o istnieniu lub nieistnieniu psychologii zwierząt, jako samodzielnej gałęzi wiedzy, uważa Wundt za rozstrzygnięte twierdząco; właściwym też sobie zwyczajem przystępuje wprost do skreślenia krótkich jej dziejów i rozbioru metod. Naukę tę — zdaniem jego — traktowano dotąd po macoszemu, pozostawiając ją w opiece już to praktycznych hodowców zwierząt, już dyletantów. „Wszystkie wnioski o przyrodzie t. zw. duszy zwierzęcej, do jakich różnymi czasy przychodziła filozofia, były raczej nie wyrazem istotnych spostrzeżeń, ale odblyskiem ogólnych poglądów, jakie wytwarzano sobie na stosunek zwierząt do człowieka." Przytoczywszy następnie zdanie wzmiankowanego wyżej Chrystyana Wolffa, oświadcza się autor przeciwko uprawianiu psychologii zwierząt *in abstracto*, tj. jako ogólnej jakiejś, na ścisłych badaniach nie opartej filozofii, rozprawiającej bądź o duszy, bądź o instynkcie, bądź o zmysłowości zwierząt wogóle i niechcącej się zniżyć do zbadania albo pojedyńczych objawów duchowego ich życia, albo też duchowości poszczególnych istot zwierzęcych. Tak samo jak anatom, nie piszący anatomii zwierząt wogóle, musi zadawalniać się badaniem i opisem budowy psa, konia, wilka — słowem, jakiejś organizacyi konkretnej, podobnie też powinien byłby postępować psycholog. Wnioski ogólne, streszczające w sobie to wszystko, cokolwiek powiedzieć możemy o świadomości zwierząt, powinny byłyby być wynikiem takich badań szczególnych; dotąd wszakże uczeni pierwszemu, nie zaś drugiemu kierunkowi z większą oddawali się skwapliwością. Badając najrozmaitsze teorye „instynktu" i „inteligencyi" zwierząt, rzadko bardzo czas swój poświęcali na tworzenie monografii poszczególnych. Darwin, jak wiemy, był jednym z pierwszych, którzy poszukiwania tej gałęzi wiedzy sprowadzali na właściwą drogę.

Obecnie rozwojowi psychologii zwierząt dwie główne przeszkody stają na zawadzie: jedną jest wadliwa i niezmiernie utrudniona krytyka spostrzeżeń, drugą — nieprzezwyciężona skłonność badaczów do utożsamiania objawów życia duchowego zwierząt ze zjawiskami umysłowości ludzkiej. Pierwszy szkopuł jest tym groźniejszym, iż uczeni zależnymi tu są w znacznej mierze od spostrzeżeń przeróżnych dyletantów: myśliwych, praktycznych hodowców itp., z których każdy usiłuje opowiadania swe ubarwić, że dalé spostrzeżenia samodzielne na tem polu należą do niezmiernie trudnych, że wreszcie zwierzęta domowe, najbardziej podległe naszemu spostrzeżeniu, są tutaj materyałem najgorszym, te zaś, których przyrody wpływ oswojenia nie spaczył — zwierzęta dzikie wymykają się uwadze badaczów. Drugi szkopuł — używanie złych analogij, skłonność do tłomaczenia objawów ducha zwierzęcego na język świadomości ludzkiej — nieobliczone psychologii wyrządził i wyrządza szkody. Rozpatrzenie ich przyprowadza Wundta do zagadnień bardzo ciekawych, jakkolwiek nie tak ściśle z obecnym jego przedmiotem się wiążących. Idzie mu o rozbiór opartych na biologii i psychologii pojęć socyologicznych, idzie mu mianowicie o rozwiązanie tych kilku, powszechnie dziś w Europie wschodniej i zachodniej poruszanych zagadnień: Czy społeczeństwo jest organizmem? Jeżeli nie, to: jaka jest pomiędzy jednem i drugiem różnica? O ile organizm biologiczny — może nosić nazwę społeczeństwa, kolonii itp.? Jakie i gdzie znaleść można najogólniejsze kryteryum do rozstrzygnięcia wszystkich tych pytań? Autor wspomina kolejno o odnośnych poglądach Spencera, Schäfflego, Espinas'a itd. Rozbiór jego, jakkolwiek krótki i dość powierzchowny, przyprowadza nas jednak do wniosku, pod jednym przynajmniej względem rozstrzygającego wątpliwość. Do zaznaczenia wyraźnej granicy pomiędzy ustrojem społecznym i organizmem biologicznym — powołaną jest *psychologia*. Tam, gdzie pojedyncze części całości związane są ze sobą tylko biologicznemi własnościami — mamy do czynienia z organizmem; tam zaś, gdzie w stosunkach pomiędzy temi częściami występują czynniki duchowe jakiejkolwiek natury, otrzymujemy społeczeństwo. Pośrednio ze słów powyższych socyologowie zaczerpnąć mogą cenne wskazówki: jeżeli ryczałtowe utożsamianie objawów życia społecznego zwierząt ze zjawiskami, wchodzącemi do zakresu naszej socyologii, jest szkodliwe, to za to z odpowiednią ostrożnością przedsięwzięte badania społecznych grup zwierzęcych niemałe nam oddać mogą usługi.

W tłomaczeniu zjawisk życia społecznego potężną rolę odgrywała i odgrywa dziś jeszcze teorya instynktu. Najciekawszą jest właśnie ta część pracy Wundta, w której występuje on przeciwko temu przestarzałemu i nic dzisiaj nietłomaczącemu pojęciu. Teleologia, a właściwie teologia czasów ubiegłych radziła sobie z instynktem znakomicie: pojęcie to opierało się na teoryi t. zw. wyobrażeń wrodzonych. Nie było nic łatwiejszego dla dawnych teleologów, jak wytłomaczyć sobie i innym tajemnicę istnienia owych wyobrażeń. Tak samo, jak w umyśle człowieka złożył Bóg gotowe wyobrażenia dobrego i złego, tak samo też — twierdzili oni — umysłowość zwierząt zaopatrzył on w pewien zasób wrodzonych, gotowych wyobrażeń. Jaskółka przynosiła z sobą na świat wrodzone wyobrażenie gniazda, bóbr swego domku itp. Teorya wyobrażeń wrodzonych nietylko nie osłabła, ale wzmocniła się pod wpływem Darwinizmu. W dziedziczności wynaleziono dla niej nowy *modus vivendi*. Nic nie może być bardziej błędnem nad przypuszczenie, iż dzieci odziedziczają po rodzicach gotowe wyobrażenia, a jednak zdanie to wprost lub ubocznie wyrażają powagi naukowe niepośledniej wartości. Niedawno np. jeden z profesorów tutejszego uniwersytetu, na posiedzeniu Tow. Ogr.

określił instynkt, jako „odziedziczoną pamięć.“ Ponieważ pamięć psychologiczna niemożliwą jest bez wyobrażeń, przeto oświadczenie profesora równało się temu właśnie poglądowi zbyt gorliwych i niezawsze krytycznych darwinistów, który podstawy dla instynktu szuka we wrodzonych tj. odziedziczonych wyobrażeniach. Poglądy te zwalcza Wundt w sposób orzekający. Dziwna rzecz — powiada on— gubiąc się w nieudatnych upodobnieniach i porównaniach umysłowości zwierząt z ludzką, uczeni badacze nie chcą użyć tego środka tam właśnie, gdzie mógłby być skutecznym. Trudno sobie przedstawić wyobrażenie bardziej proste nad nasze wyobrażenia zmysłowe, np. nad wyobrażenie barwy, lub światła. Otóż z nielicznych doświadczeń, dokonanych nad ślepymi od urodzenia, okazuje się, iż ci ostatni, przed zdjęciem im katarakty, ani o barwie, ani o świetle najlżejszego nie mieli wyobrażenia. Tem bardziej więc jaskółka nie może odziedziczać po przodkach swych wyobrażenia tak złożonego, jak np. wyobrażenie gniazda. Co najwyżej przypuścić możemy w istotach ludzkich i zwierzęcych odziedziczanie pewnych usposobień (anlage) i związanej z niemi zdolności odruchów.

Weźmy przykład, przytoczony przez Wundta. Pewne zewnętrzne i wewnętrzne warunki życia (drugie wyobrazić sobie możemy w postaci jakichś zmian drobinowych w ustroju) rodzą w umysłowości dziecka poczucie głodu. Poczucie to drogą odziedziczonych usposobień łączy się w jego organizacyi z szeregiem odruchów; z tych jednc nie mają dla młodziutkiego organizmu żadnej wartości, inne zaś sprowadzają zaspokojenie uczucia głodu. Rozwój duchowy istoty wyodrębnia, wyosabnia ostatnie ruchy jako celowe tj. odpowiadające pewnym uświadomionym potrzebom organizmu. Z biegiem czasu wola podejmuje się ruchów tych kierownictwa.

Z tego punktu widzenia wola wywierać musi wpływ nietylko na zewnętrzne stosunki pomiędzy jednostkami, nietylko na ruchy ich zewnętrzne, ale też i na wewnętrzną, drobinową (molekularną) budowę ich ciała. W uznaniu tej prawdy pojęcie celowości zyskuje nowe i niespodziewane wytłomaczenie. Biologiczny rozwój zwierząt i ludzi celowym jest w znacznej mierze dlatego, iż odbywa się pod wpływem świadomej celów swych woli. Z tego stanowiska bez wszelkiej już przenośni powiedzieć będziemy mogli wraz z Wundtem, iż dzieje cielesnego rozwoju istot żyjących są niejako obrazem (Abbild) albo oddźwiękiem rozwoju ich ducha.

J. K. Potocki.

PRAWOZNAWSTWO.

Dr Ostrożyński Wł. **Prawo wyższej konieczności** Lwów, 1886.

Są w życiu wypadki, w których dwa dobra w takie względem siebie wchodzą położenie, iż jedno tylko kosztem drugiego może się ocalić. Człowiek staje wtedy przed następującym wyborem: albo uszanuje cudze dobro, a wtedy poświęci własne, albo ocali własne, a wtedy naruszy cudze. Tego rodzaju kolizyę nazywamy *stanem*, albo, jak chcą inni, *prawem* wyższej konieczności. Za przykład posłużyć może rozbitek morski, który ratuje swe życie kosztem życia towarzysza, albo: zagrożony śmiertelnem cięciem, dla obrony posuwający między siebie a napastnika osobę obok stojącą, jak on niewinną, wskutek czego cios ją trafia. Prawo wyższej konieczności tem się różni od pokrewnej mu obrony koniecznej, że tam staje prawo przeciwko prawu, tu zaś prawo odpiera bezprawie; tamto jest napadem, to obroną. Że czyn popełniony w ostatnim wypadku jest bezkarnym wobec prawa, to dziś już nie ulega wątpliwości; co do prawa wyższej konieczności zachodzą znaczne różnice zdań, o czem już pisał Krausbar (*O stanie konieczności w prawie karnem.* Kraków, 1868.), a co na nowo podjął p. Ostrożyński w wyżej wymienionej książce.

Jest to praca początkującego autora, docenta nauk społecznych w wyższej szkole dublańskiej, sumienna, obejmująca bogatą w tym przedmiocie literaturę niemiecką, odznaczająca się nawet pewną szermierką dyalektyczną, ale nie rozwiązująca kwestyi całej zasadniczo, nieuwzględniająca zupełnie ani nowych poglądów na filozofią prawa znakomitych pisarzy francuskich i angielskich, ani badań filozoficzno-psychologicznych, któreby rzuciły nowe światło na *naturę* stanu wyższej konieczności.

W pierwszej części rozprawy, przedstawiającej historyę i rozwój kwestyi wyższej konieczności, zacząwszy od prawa rzymskiego i kanonicznego, a skończywszy na najnowszych spornych poglądach prawników niemieckich (Janka *Der strafrechtliche Notstand* 1878, Stammlera *Darstellung des Notstandes* 1878, Buri *Notstand und Notwehr* 1878.) niepodciąga autor sądów i zdań różnych pod pewne kategorye, nie odnosi ich do wspólnego mianownika, ale, trzymając się więcej chronologicznego porządku, przytacza skrupulatnie najdziwaczniejsze zdania z przestarzałych kompendyów, nie opuszczając żadnego mniemania, choćby było tylko powtórzeniem pacierza za panią matką. Skutkiem tej skrupulatności metody niemieckiej, na której się kształcił autor, cytuje on całemi kartkami prawników *minorum gentium*, stojących tu z braku perspektywy na równi z pisarzami, wytykającymi nowe tory, zapełnia przypiski balastem tytułów i stronic, powtarza się i miesza w chronologicznym układzie, wreszcie zwalczając jednego prawnika argumentacyami drugiego, obraca się w zaczarowanem kole. Ale kiedy w tej historycznej części nie umiał młody pisarz zapanować nad przedmiotem, to w drugiej, rozwijającej *oryginalny pogląd*, okazał wiele trafnych myśli i zdrowego sądu. W niniejszem streszczeniu postaramy się o uwydatnienie nowych wyników, do których doszedł autor w swem badaniu.

Wykazawszy w historycznym rozwoju prawa wyższej konieczności coraz to większe uwzględnienie własnego dobra a coraz mniejsze poszanowanie cudzego, uzasadnia to prawo obecnie *brakiem pomocy państwowej z jednej i znaczenia dobra chronionego z drugiej strony.* W zastosowaniu obecnem tego prawa rozróżnia następujące wypadki. Jeżeli dobrem zagrożonem jest „cała egzystencya człowieka“ a więc jego życie, wolność i całość cielesna, wówczas *ma* człowiek *prawo* utrzymać ją kosztem jakiegokolwiek cudzego dobra, lub naruszeniem jakiegokolwiek prawnego obowiązku. Jeżeli zaś inne dobra (np. własność człowieka) znajdują się w niebezpieczeństwie, wówczas ma on prawo je utrzymać tylko „kosztem jakościowo lub przy równej jakości ilościowo niższego cudzego mienia.“ To znaczy *mam prawo* paść swego konia na cudzej łące, jeżeli grozi śmierć z głodu albo wycieńczenia, mam prawo zastrzelić cudzego psa, grożącego mi ukąszeniem — ale nie mam prawa czynnie znieważać innej osoby, jeżeli wskutek niewykonania tego czynu, stracę majątek. Oto parę przykładów: Bankier ma za chwilę czynić wielkie wypłaty pod grozą bankructwa, pomocnik jego, zostający w kolizyi między utratą własnych stu złotych a utratą klucza od kasy, „nie ma prawa dla ochrony swych stu złotych poświęcać obcego klucza — idące bowiem za tem wstrzymanie wypłat w oznaczonym czasie mogłoby spowodować bankructwo, a więc stratę większą, aniżeli strata po stronie pomocnika. Bankier natomiast, który znalazłby się w podobnej kolizyi między utratą klucza od kasy a targnięciem się na sto złotych biednego pomocnika, „ma prawo dla ocalenia klucza poświęcić obcą własność, bo strata po jego stronie byłaby większą, acz wartość dobra jest większą po stronie przeciwnej.“ Matka, zabijająca z rozpaczy swe dziecko, nie mogąc go wyżywić, nie ma prawa zasłaniać się stanem wyższej konieczności, „albowiem zabójstwo dziecięcia nie ma zdolności usunąć od tego dziecięcia śmierci głodowej.“ Kasyer, który pod groźbą śmierci wydaje zbrodniarzowi klucze od kasy, dozorca więźniów, który pod tą samą groźbą wypuszcza więźnia na wolność — „działają zawsze jeszcze w granicach prawa wyższej konieczności, bo prawo od nich nie wymaga, aby w wykonywaniu swych powinności ponosili *ofiarę* życia. Lecz żołnierz, ratujący się w niebezpieczeństwie życia ucieczką, albo majtek, poświęcający pasażerów dla ocalenia własnego życia, „nie mogą się powoływać na prawo wyższej konieczności,“ gdyż na nich ciężry *obowiązek* poświęcenia własnego życia. Nie może się na stan konieczności powoływać ten, kto zabije lub rani przeciwnika w pojedynku, „gdyż sprowadzenie do tego stanu da się tu odnieść do winy umyślnej albo do lekkomyślności sprawcy,“ lecz nie możemy odmówić prawa konieczności ubogiemu, który przez roztrwonienie majątku popadł w nędzę i w tym stanie ratując się przed śmiercią z głodu, uczynił zamach na obcą własność, chociażby przez należną oględność mógł przewidzieć skutki swej rozrzutności. Prawnie postępuje tak samo ten, kto dla uratowania życia obcego człowieka własność osoby trzeciej narusza, jak ojciec, który popełnia zbrodnię dla uratowania życia własnego dziecięcia. Z tego stanowiska jest uprawnione zabicie dziecięcia w łonie matki, gdy życie jej w porodzie znajduje się w niebezpieczeństwie, dlatego też poświęca lekarz niepewne jeszcze życie dziecięcia, aby ocalić rozwinięte i samoistne życie matki.

Jak widzimy już z tych kilku przykładów, uzasadnienie p. Ostrożyńskiego zawsze w głąb wnika i jest dobrze obmyślane, chociaż w niektórych więcej zawikłanych kolizyach nie można nazwać rozcięcia węzła — szczęśliwem.

B.

WYNALAZKI.

II.

Jeżeli mamy wierzyć dziennikom amerykańskim, to prasy drukarskie w niedługim prawdopodobnie czasie przestaną istnieć. Zastąpi je fotografia, której praca byłaby i szybszą i mniej kosztowną. W tym celu dość byłoby otrzymać odbitkę negatywną kolumny dziennika zapomocą odrzutu światła elektrycznego i utrwalić ją na pasku papierowym, rozwijającym się z taką szybkością, że możnaby pozyskiwać sto odbitek pozytywnych w przeciągu jednej sekundy, czyli 360,000 w jednej godzinie. Potrzeba jednak byłoby dla osiągnięcia tego rezultatu wynaleźć papier niezmiernie czuły na wpływ światła, a przytem bardzo tani, które to zadanie nie przedstawia zresztą wielkich trudności.

Drukowanie gazet za pośrednictwem fotografii nie jest w istocie taką mrzonką, jakby z pozoru sądzić można. Nie zapominajmy, że przed dziesięciu laty nikt nie mógł wątpić, że można otrzymać odbitkę fotograficzną w $^1/_{500}$ frakcyi sekundy, a jednak przed piętnastoma laty drukarz, dowodzący, że podejmuje się odbić 20,000 numerów dziennika w ciągu godziny za-

pomocą prasy obrotowej, uchodziłby za szaleńca. Dziś wszakże taką ilość numerów dziennika odbić w przeciągu godziny jest rzeczą łatwą.

Podczas panujących obecnie upałów, bardziej niż kiedykolwiek kwestya sztucznego wytwarzania zimna i lodu zająć może i powinna szersze koła publiczności, uczuwającej nieraz dotkliwie brak tego niezbędnego produktu, którego zapotrzebowanie wzrasta jednocześnie tak w przemyśle i gospodarstwie domowem, jak i w wymaganiach hygieny.

Z tych względów zamierzamy zapoznać czytelnika z najnowszym wynalazkiem, rozwiązującym tę kwestyę w sposób o wiele doskonalszy od wszystkich dotąd znanych systemów. Podajemy tu rezultaty najnowszych doświadczeń Pictet'a, znakomitego profesora fizyki w Genewie, umożliwiających produkcyę lodu za pośrednictwem tak zwanego *płynu Pictet'a*. Płyn ten składa się z dwóch kwasów: węglanego i siarczanego, których nie jest związkiem, tylko mieszaniną; posiada jednak własności związków chemicznych, jakich zwykle są pozbawione mieszaniny mechaniczne. Własności te wyszczególniamy. Natężenie pary przy 20° Cels. wrzącego płynu Pictet'a jest daleko słabszem, niż gdyby to była zwykła mięszanina mechaniczna kwasu węglanego z siarczanym. Na tej to własności, przejawiającej się pomiędzy temperaturą 5° Cels. poniżej zera, a 50° ciepła, przyczem następuje zupełne połączenie się chemiczne ciał zmieszanych, polega zastosowanie płynu Pictet'a do wytwarzania lodu i zimna.

Ponieważ, wskutek niskiej temperatury, ciśnienie pary tego płynu jest bez porównania mniejszem od ciśnienia używanego dotąd amoniaku, tem samem dla swej kondensacyi potrzebuje on daleko mniejszej siły; maszyna przeto, posługująca do wytworzenia lodu sztucznego, działa z wielkiem zaoszczędzeniem węgla.

Oszczędność na tym materyale powiększa się jeszcze bardziej, wskutek, wywiązującego się w wyżej wymienionych temperaturach, silnego przyciągania molekularnego gazów, składających płyn Pictet'a, co zwykle zachodzi jedynie w związkach chemicznych. Z tej też przyczyny, opór przeciw parciu cisnących gazów wymaga daleko mniejszej mechanicznej pracy, niż przy zastosowaniu wszelkich dotąd znanych sposobów sztucznej produkcyi zimna.

W dotychczasowej fabrykacyi lodu główną część kosztów stanowi opał; łatwo więc zrozumieć, iż nowo wynaleziony środek usuwa jedną z najważniejszych przeszkód w rozpowszechnieniu tego, tyle pożądanego wytworu.

Płyn Pictet'a posiada zresztą inne jeszcze zalety, z powodu bowiem swej śliskości uchyla potrzebę smarowania tłoków, co w tym przemyśle stanowiło dotąd jednę z większych trudności, podnoszących koszt wyrobu. Nadto, pomimo częstego przeprowadzania tego płynu przez maszynę, nie rozkłada się on i nie przechodzi w inny stan skupienia; wyłącza też zupełnie obecność wody w tłoku i oziębiaczu, do którego zapełnienia potrzeba tylko bardzo małej ilości cieczy.

Wartość wynalazku Pictet'a podnosi jeszcze i to, że ulepszył on doskonale konstrukcyę oziębiaczy, kondensatorów i tłoków, zwracając głównie uwagę na prosty, łatwy i pewny sposób ich działalności, a niemniej na specyalną użytkowość i zastosowanie pojedynczych przyrządów, co znowu wpływa na znaczne zaoszczędzenie pracy i zimnej wody.

Tak racyonalne rozwiązanie kwestyi sztucznej produkcyi lodu ułatwi niezmiernie rozpowszechnienie tego systemu, zmniejszając potrzebną siłę motoru, ilość zimnej wody, cieczy oziębiającej itp. Nadto działanie maszyny z biegiem pewnym, nieulegającej częstym a nieprzewidywanym uszkodzeniom, umożebni jej zastosowanie w wielu wypadkach, w jakich dotychczasowe systemy okazały się całkiem niepraktycznymi i bezużytecznymi.

Prócz fabrykacyi lodu, wynalazek Pictet'a ma także na celu sztuczne ochładzanie przestrzeni. Wobec rozwijającej się działalności nowego systemu, dziś już twierdzić możemy stanowczo, iż niedaleką jest chwila, kiedy w domach prywatnych, w gmachach publicznych, w sklepach i i wszelkiego rodzaju zakładach urządzane będą specyalne stacye sztucznego oziębiania przestrzeni, połączone z głównym zbiornikiem wytwarzanego chłodu.

Do szybkiego rozpowszechnienia nowego wynalazku przyczynia się wiele i ta okoliczność, że maszyny dawnego systemu, służące do produkcyi lodu, bez wielkiego kosztu mogą być przerabiane na sposób przyrządów Picteta. Ściśle odbywane doświadczenia okazały, że 1 kilogram węgla kamiennego jest wystarczającym do wytworzenia 40 kilogramów lodu, to jest, że produkcya najlepszych dotychczasowych maszyn w trójnasób powiększoną zostanie przy zmianie ich konstrukcyi, na wzór przyrządów Picteta.

Znakomity ten wynalazek dotąd przeważnie w Niemczech znalazł rozpowszechnienie. Maszyny Picteta czynne są już w browarze Grubera w Königshofen pod Strasburgiem w Alzacyi. W Berlinie dwie fabryki lodu Kropffa przerabiają swe maszyny według nowego systemu, który też zaprowadzają obecnie w jednym z wielkich browarów w Westfalii i w hucie szklannej w Frankfurcie nad Menem.

Na zakończenie zapisujemy, że p. J. Chełmicki w Warszawie wynalazł sposób przenoszenia rysunków na wyroby metalowe, zapomocą galwanizmu. Taniość kosztów tego ozdabiania, w porównaniu z kosztownem grawirowaniem, zapewnia temu wynalazkowi powodzenie. Dotąd metoda roboty trzymaną jest w tajemnicy.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

Plon konkursowy.

I.

(St. Kozłowskiego *Albert wójt krakowski.*)

Uwagi godnym jest u nas fakt częstego egzaltowania się ospałej opinii w stosunku nieproporcyonalnym do powodów. Zwykle martwa, obojętna, dostaje nagle gwałtownych napadów histeryi, w której albo coś potępia, albo wychwala bez miary. Po każdym takim paroksyzmie szybko powraca do obojętności i ceni przedmioty swych złorzeczeń, lub lekceważy przedmioty swej chwalby. Prawie zawsze przypadłość rozpoczyna się u niej od głowy — od prasy, za którą idą inne organy. Prasa ta w znacznej swej części szklanem, martwem okiem patrzy nieraz na najpomyślniejsze objawy naszego życia i w jednej chwili, bez widomej racyi, uczuwa zawrót, wstrząsa się, zapala i nabożnie klęka przed czemś, co bynajmniej nadmiernych uniesień nie usprawiedliwia. Jest to dowód niedojrzałości, czy choroby, słabej wiedzy, czy zdenerwowania się w dusznem powietrzu — badać tu nie będziemy; zaznaczamy tylko, że owa histerya objawiła się również przy tegorocznym konkursie dramatycznym.

Jeszcze przed ogłoszeniem wyroku biegały w pismach zadyszane wieści, że w plonie konkursowym znalazły się złote kłosy; po rozdaniu nagród zaczęto bić z armat dziennikarskich salwy na urodziny geniusza. Opowiadano, że sędziowie, czytając *Alberta*, nie mogli opanować wzruszenia, że przyznawszy jego autorowi jednogłośnie pierwszą palmę, ze łzami radości rzucili się sobie w objęcia, że takiej chwili nigdy może literatura polska nie miała. „Trzeba było widzieć — pisze pewien sprawozdawca — tych „starych,“ którzy na drugi dzień po odczytaniu ogólnem *Alberta*, z rumieńcem na licach, z iskrzącemi oczyma, wbrew sędziowskiej dyskrecyi spowiadali się ze swoich wrażeń i mówili o tej tragedyi z takim zapałem młodzieńczym, jak gdyby każdy z nich sam był jej autorem.“ Gdy odsłonięto nazwisko tryumfatora, który „położył się nieznanym, a wstał znakomitym“ i „przez jednę noc“ zyskał sławę, zaczęto go interviewować, oprowadzać po salonach, wyprawiać bale „z Kozłowskim,“ deklamować ustępy z jego dramatu prywatnie i publicznie. Wyrysowano go we wszystkich ilustracyach, wydrukowano jego młodzieńczy wierszyk, niezasługujący na pokaz, ale mający dla narodu urok i wartość miłej pamiątki, jako pierwocina autora rozległej chwały, który połączył w sobie „Shakespeare'a, Kochanowskiego i Słowackiego.“ „Tak nam trzeba było — mówił wspomniany krytyk — teraz właśnie jakiegoś zwycięstwa, któreby dało *świadectwo naszej żywotności duchowej*, jakiejś pociechy w przygnębieniu, *jakiegoś dowodu*, że ten duch, wśród zimnych i nieprzyjaznych prądów naszej epoki, jak stary gwardzista w najcięższej walce nie poddaje się, że wspina się przecież jak woda, im ciaśniej — tem wyżej.“ Ponieważ poza kołem konkursowem i jego przyległościami nikt nie znał arcydzieła, a druk jego opóźniono, przez kilka tygodni więc owe chwalby rosły bujnie, powstrzymywane zaledwie przestrogami, ażeby podniósłszy laureata zbyt wysoko, nie przyprawiono go o niebezpieczny upadek. Przestrogi te opierały się z jednej strony na widocznych znamionach przesady, z drugiej na tym pewniku, że nad kolebką geniuszów nigdy nie śpiewa chór pochwalny, bo ich jeszcze nie rozumie.

Nareszcie ukoronowany *Albert* ukazał się w *Gazecie polskiej* i zbudził rownomierne zachwytom rozczarowanie, a nam przypomniał pewną anegdotę. Żołnierze pułku czwartaków, ustawiwszy się przed rogatką długim szeregiem w dzień targowy, zapytywali wieśniaczkę, niosącą *gęś*, ile chce za swego *zająca*. Kobieta pierwszemu nic nie odpowiedziała, drugiego ofuknęła, dalszym broniła się coraz słabiej, aż zdurzona ostatniemu sprzedała gęś za zająca. Z p. Kozłowskim stało się podobnie. Uwierzył on mimowolnym i mimowiednym czwartakom naszej prasy, że przyniósł coś innego, niż mniemał, tak, że nakoniec, „spowiadając się“ w *Świcie* z tego, iż uległ słabości miłosnej, wyrzekł o sobie.

Bo nie na to mi dana pieśni *twórcza władza*,
Abym opiewał tkliwe dziewic świegotanie,
Gdy z krateru mej duszy jakaś *moc* wysadza
Lawę, a w głębi słychać w nim *piorunów granie*.
Kataklizmy dziejowe i walki olbrzymów
I wielkie, nieśmiertelne starcia dla idei,
Męże, co w trudach darły swe żelazne zbroje,
Śpiewać *mam* w takt muzyki nieśmiertelnych rymów,
Świat malować w tragicznej a groźnej zawiei:
To są cele i jasne przeznaczenia moje.

Brzmi to podobnie, jak wyrażenie Danta, gdy ten znalazłszy się w pierwszym kręgu piekła, śród wielkich mężów starożytności, rzekł: „I byłem szósty z geniuszów chóru.“ My więc dziś, przystępując do rozbioru *Alberta*, musimy zastosować do niego nietylko tę miarę, jaką wyrok konkursowy dlań wyznaczył, ale i tę, jaką sam autor w zupełnej zgodzie z pochwałami krytycznych plotek za właściwą dla siebie przyjął.

Chyba nigdy przed opinią publiczną nie odegrano większej farsy z utworem, który bez niej zyskałby sobie uznanie, bo posiada wartość. Rozpatrzmy naprzód jego treść.

Bogate, zuchwałe, niemieckie mieszczaństwo Krakowa ze swym burmistrzem Albertem na czele, ukorzywszy się chwilowo przed Łokietkiem, postanawia wyłamać się z pod jego władzy i przyłączyć do cesarstwa niemieckiego. Ale król polski pokonywa zbuntowane grody, a zdobywszy Kraków, mści za spisek spustoszeniem i rzezią, w której bądź samobójstwem, bądź podczas walki giną herszci spisku i ich wójt. Z tą osnową polityczną związana miłosna: syn Alberta pokochał córkę kasztelana Janka, którą mu wykradł biskup Muskata. Młody Hans, oskarżony przez rajcę Dornbucha, sprzyjającego Łokietkowi, o zdradę, zostaje przez ojca skazany na śmierć, biskup zaś ginie uduszony z rozkazu króla.

Wątek ten, uzupełniony obrazami posiedzeń, sądów i narad, przewija się w dziesięciu obrazach z zupełnem pominięciem prawideł dramatycznych. P. K. wsuwa i wysuwa swe postacie, jak i kiedy mu się podoba. Zaznaczywszy np. miejsce akcyi: „Komnata w grodku krakowskim“ wprowadza tam wszystkich, gdy mu są potrzebni. Autor po prostu objaśnia: wyszedł z za „węgła“ lub skrył się „za kolumnę“ i więcej nie myśli o usprawiedliwieniu wejścia lub wyjścia każdej osoby. Wszystko to nadaje budowę arcypierwotną utworowi, który nie jest ani dramatem, ani tragedyą, ale raczej szeregiem luźnych i z poetycką swobodą kreślonych obrazów. Gwałci on nietylko wymagania sceniczne, ale nawet logiczno-artystyczne. Na nieszczęście wszystkie charaktery, mimo pozornej energii słowa, są albo blade, albo nieoznaczone i w rysach znamiennych sprzeczne. Albert, bałwochwalczo przez swych towarzyszów czczony, o tyle przedstawia się wyraziście, o ile, wbrew założeniu autora, jest naiwnym samochwałem. Nazywa się „radnym i mężnym“— w chwili największego niebezpieczeństwa każe innym walczyć, a sam się zabija, „starym dębem,“ człowiekiem „wykutym z granitu i stali.“ Podczas szturmu Krakowa wszedł do kościoła, aby tam (!) zabić się i usłyszał, jak powien święty „szeptał do niego kamiennemi usty: jesteś przeklęty, przeklęty, przeklęty.“ Pomimo to i chociaż uznaje, że na jego duszę „brzydka rdza padła,“ konając powiada: „nigdym nie spełnił sromotnego czynu.“ Woła: „tu zostanę, cóż że mnie polak rozpłata na ćwierci,“ w tejże chwili wyjmuje sztylet i zapomniawszy zupełnie o swem postanowieniu, upewnia, że „by się zabić, dość ma jeszcze siły.“ Rzeczywiście słuszną jest jego następna uwaga, że „może na gorączkę chory.“ Bo nawet przed śmiercią, zamierzywszy na rynku odkryć przed ludem swoje „sumienie“ i „tajniki swej duszy,“ również o tem zapomina i wcale ich nie odkrywa. Jeżeli zaś on nie wie, co ma o sobie trzymać, to inni całkiem gubią się w sprzecznościach. Tak np. Łokietek nazywa go „obłudnikiem“ a jednocześnie mężem „szlachetnym i prawym;“ uczciwszy zaszczytnem wspomnieniem „znakomitego męża,“ zapowiada: „nie zostanie śladu potęgi tego szaławiły.“ Mężny, tchórz, przeklęty, uczciwy, obłudnik, szlachetny, prawy, znakomity, szaławiła — zgadnijcież, jakim był wójt krakowski?

Łokietek, ciągle grożący i wylewający te groźby deklamacyjnie, zatrąca mimowolnym humorem, zwłaszcza że ciągle jest pod ręką autora i w potrzebie zjawia się „z za węgła.“ Gdy prawi w szerokim stylu o „tajemniczej treści Piastów,“ o „katach Słowiańszczyzny“ (niemcach), o „odwiecznych wrogach narodów sarmackich,“ grzeszy tylko nieusprawiedliwioną w jego osobie i czasie przesadą; ale gdy zabiera się do jakiejkolwiek czynności politycznej, jest władcą operetowym. Z wielkim zamachem postanawia „głęboko zajrzeć do sumienia“ Alberta; tymczasem karmi go gorzkimi wyrzutami i sam je od niego zjada, a pożegnawszy winowajcę życzliwie, mówi do siebie:

Gorących rządów mych troski codzienne,
Zrodziły we mnie jeden przymiot rzadki:
Uczucie jakieś święte (?) i promienne (?)
Jasnowidzenie kochającej matki (?).

Czy tu „matki“ ustawiono dla „rzadki,“ czy odwrotnie, mniejsza, dość, że Łokietek akurat tego „rzadkiego“ przymiotu w dramacie nie posiada. Biskup wykradł córkę kasztelanowi, którą król poleca wynaleźć wójtowi i taką mu daje wskazówkę:

Czyje oko pała
Ogniem namiętnym, a twarz jest zuchwała,
U kogo dyszą lubieżnością usta,
Gdzie gości zbytek i mieszka rozpusta,
Tam ty się udaj, a znajdziesz ofiarę,
Ręczę ci za to.

Miał prawo Albert odpowiedzieć, że z takim dokładnym adresem winnego szukać nie będzie.

Ów kasztelan Janko prosi „o względy“ dla biskupa, który mu chciał zhańbić córkę; umierając, przebity w walce, żartuje z jej „blednicy“ i każe niepocieszonej po straceniu kochanka „robić wdzięczne oczy“ do innego młodzieńca, który „wkrótce wyskoczy,“ Łokietek zaś, przechodząc koło konającego, rzecze do jego towarzyszów: „zostańcie, niech z wami *gawędzi*“ — „cięty w jelita.“ Nieszczęsna Małgosia jest między charakterami postacią narysowaną najnieudolniej. To „lube *dziecko*“ w sporze z przyczepioną luźnie do dramatu przyjaciółką, kochankiem i jego przyjacielem, mówi o „ślubnej łożnicy,“ przyznaje się, że dlatego „zbytnie zapały hamuje kochanka, aby tem bardziej uszczęśliwić męża,“ bo—

Najlepiej pono dzieje się w miłości
Kiedy mężczyzna pożąda i... pości.

Wysoką znajomość rzeczy tego rodzaju owo „dziecko“ zdradza na każdym kroku. Obudziwszy się ze snu w zamknięciu u biskupa, woła:

Muskata tutaj, u mojego boku,
Z odętą wargą, z namiętnością w oku.
. . . .
Bodaj na popiół twa żądza zgorzała.

Nie gromi go mocą swej krzywdy, nie błaga miłosierdzia, ale z zapałem dysputuje: „I cóż mi możesz dać?“ — pyta:

Zwarzone lice,
Włos siwiejący i martwą źrenicę;
Przedsmak miłości jeno wzbudzisz *blady* (?).
Gdyś mię *od sutej oderwał biesiady*.

Wreszcie nawet ostrzega go:

Żony nie znajdziesz, a infułę stracisz.

Natomiast wobec idącego na śmierć kochanka i umierającego ojca Małgosia nie może się zdobyć na jeden silniejszy wyraz i umie tylko mdleć. Zmysłowa dzierlatka w najtragiczniejszem położeniu nie wyrasta na bohaterkę dramatu, nie umie ani silnie kochać, ani nienawidzić, ani gardzić. Gdy trąci w jakąś wyższą strunę, dobywa z niej bezsens. Chce poślubić niemca, więc ojciec jej pyta, po której stronie Hans stanie w walce dwu narodów? Ona odpowiada:

Wybrnie z toni i jak orzeł biały
Wzleci wysoko ponad wojska oba,
Prózen wojennej, krwią zbryzganej chwały.

To jest — co zrobi? Autor nie umiał rozwiązać tego węzła, Małgosi nie nauczył i kazał jej wykręcić się „orłem białym.“

Kojarzenie sprzeczności w charakterach jest jedyną konsekwencyą, którą p. K. zachowuje stale. Na początku dramatu biskup ma twardość krzemienia i upewnia, że „nie ulegnie,“ „zastygnie jak głazy,“ a „śmierć marmurowem powita obliczem,“ skazany na uduszenie drży, modli się, spowiada, o rozgrzeszenie prosi.

Do jakiego stopnia zaś autor nie posiada elementarnej umiejętności kreślenia charakterów, przekonywa najdowodniej główną nicią swego utworu. Między rajcami krakowskimi jest jeden niemiec Dornbuch, który sprzyja Łokietkowi, przechowuje jego wysłańców, słowem zdradza rodaków; otóż ten Dornbuch oskarża przed Albertem jego syna Hansa o zdradę (znacznie mniejszą) i ściąga nań z ust ojca karę śmierci. Nie jest on zaś wcale podstępnym łotrem, lecz obywatelem szlachetnym, który po zapadnięciu wyroku powiada naiwnie:

Chciałem być jeden rady rzecznik *tęgi* (?),
Lecz co robicie napełnia mnie trwogą,
Proszę, zwolnijcie mnie z danej przysięgi.

I „składa swą godność,“ oburzony na innych tem, co sam wywołał. Jakim sposobem mógł oskarżenie wnieść jedyny w dramacie człowiek, który go wnieść nie powinien, pozostałoby zagadkowym dziwolągiem, gdybyśmy ustawicznie nie spotykali dowodów niepamięci autora, który od najważniejszych do najdrobniejszych rzeczy zapomina o tem, co poprzednio napisał i nawet skazawszy Hansa na „ścięcie,“ pozwala Małgosi widzieć „szubienicę.“

(D. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Niewierny Tomasz wypędzony z Królewca. — Potrzebna statystyka. — Na swoich śmieciach. — Wygnany kapitał i nasza gościnność. — Przykra powinność. — Ogniki pod chmurą. — Nowe szkoły. — Zakład dla dzieci utalentowanych. — Pomysł króla bawarskiego. — Ofiara Norblina. — Skarga zecerów. — Nadużycia rzeczników krzywdy. — Niespłacony dług.

Można mu przebaczyć, bo odpokutował ciężko i wyspowiadał się szczerze. Nie wierzył publicznym ostrzeżeniom i jadąc do wód niemieckich, strudzony podróżą i chory, zatrzymał się w Królewcu, chociaż w tem mieście nieśmiertelny Kant pisał o obowiązkach ludzi względem siebie i wygłosił rozumne zdanie, że „kto się staje robakiem, nie powinien oskarżać innych, iż go depczą.“ Kapłani sprawiedliwości pruskiej, którzy również zapomnieli, że tamże Kant uczył o obowiązkach ludzi względem bliźnich, natychmiast ujęli w swoje obcęgi śmiałego polaczka i wyrzucili go za granicę — zgodnie z bullą *ausrotten*. Spadłszy na ojczystą ziemię, ukarany niedowiarek uderzył się w piersi listem do jednego z *Kuryerów*, wyznał swą winę i stanął skromnie w szeregu świadków, popierających przestrogi prasy. Jak widzimy, narody, które umieją przez lata całe nie palić cygar wrogiego im pochodzenia, mieszkają pod innym, niż nasz, stopniem szerokości geograficznej; my zaś posiadamy przedziwny talent właźenia oknem tam, skąd nas wyrzucają drzwiami. Przydałaby się tu bardzo statystyka, mianowicie: ilu jest takich, którzy nie pojechali do wód niemieckich z obawy, ilu — z powodu zwrócenia ich z drogi, ilu — skutkiem niemożności, a ilu — z odrazy i poczucia powinności. Tych ostatnich, którzy, mieszkając dawniej we Włoszech lub Węgrzech nie paliliby cygar austryackich, sądzę, zmieściliby się na paradyzie podczas przedstawienia cnót obywatelskich w Teatrze Rozmaitości.

Ta cnota ma jeszcze swoją drugą dobrą stronę, uwydatnioną historycznie — gościnność. Wszelkiego rodzaju wygnańcom

otwieraliśmy drzwi na oścież, dzieląc się z nimi chlebem i dachem. W mniejszej mierze, ale robimy to dotąd. Nie umiem wyrazić radości, jaką uczuwam, widząc u nas śmiałe obroty przemysłowców niemieckich wtedy, kiedy ze wszystkich ambon kościoła pruskiego głosi się ewangelia apostoła Hartmana. Proszę czytać np. w *Kuryerze warsz.*: Ja „Franz Schmelzer, reprezentant firmy Bracia Israel,“ dowiaduję się, że „niektórzy z moich konkurentów, chcących uchodzić za techników, *pozwolili sobie* rozsiewać tendencyjną pogłoskę i to jeszcze przed kilkoma tygodniami, że wewnętrzne urządzenie nowo budującego się młyna w Tarnogórze, w gub. lubelskiej jest zupełnie sfuszerowane i że—itd.“ Mniejsza o to, czy ów młyn „funkcyonuje doskonale“ i czy kto z ciekawych skorzysta z zaproszenia i obejrzy „turbiny patentu Haag,“ bardziej uderza nas inna okoliczność, mianowicie to, że „Franz Schmelzer“ i „Bracia Israel“ czują się zupełnie na swoich śmieciach. Kto tak przemawia, nie przypuszcza, ażeby mógł być „ausgewiesen.“ I słusznie, bo kraj nasz był i jest schroniskiem dla prześladowanych. Nie należy zaś przypuszczać, ażeby „Bracia Israel,“ właściciele młyna w Tarnogórze, nie byli przynajmniej częściowo prześladowanymi. Wprawdzie mogą oni mieszkać w Wiedniu, ale nie mogą tam zużytkować wszystkich kapitałów. Czy to nie jest ograniczeniem swobody? Zastanówmy się tylko: mamy milion marek i tylko dla połowy jest miejsce na łonie Germanii, druga pozostaje bezczynną, innemi słowy—skazaną na wygnanie do innego kraju, gdzie jeszcze pozostało dużo przestrzeni dla obcych kapitałów. Właściwie zatem „Bracia Israel“ są „ausgewiesen“ z ojczyzny w pewnej części, a Królestwo Polskie jest gościnnem dla nich schroniskiem.

Niewątpliwie złośliwy uśmiech jest jedyną pociechą bohaterów w tragedyach, ale z tą ironią w obecnym wypadku miesza się dziwne i bardzo przykre uczucie. Niemcy nietylko wyganiają nas z własnej ziemi, jak włóczęgów, nietylko wypierają podbojem ekonomicznym, jak niezdolne do pracy plemię, ale jeszcze doprowadzili nas do tego, że rozum stanu, że patryotyzm upatrujemy w tem, w czem oni go widzą. Musimy się bronić od Szultzów i Müllerów, a jednakże z pod pióra wylatuje mi jakiś zgrzyt ostry, gdy ono kreśli słowa nienawiści międzynarodowej. Jakie dzikie, jakie zdrożne w oderwaniu od rzeczywistości to wzajemne szczucie się ludzi za to tylko, że z odmiennych wyszli gniazd! Ale cóż ma robić największy humanista, gdy na polu bitwy nieprzyjaciel zacznie do niego strzelać? Strzela również. Po każdej wszakże utarczce, gdy zostaniemy sam na sam z naszą myślą, gdy rozważymy te konieczności życia, doznajemy głębokiego obrzydzenia. Wstręt nas ogarnia do całej tej walki, w której musimy bodaj w życzeniach wypędzać ludzi obcego rodu, podnosić krzyk na to nawet, że od nas wykupują — raki. A jednak — powtarzam — jest to prawo najpiękniejszego ze świątów.

Pod tą ciągle nad istnieniem naszem wiszącą chmurą zapłonęło w zeszłym tygodniu kilka miłych ogników. Nie mówię o uroczystości wianków, lecz o rozmaitych projektach i spełnionych czynach społecznych większej wagi. Zapowiedziano kilka szkół nowych, które jeszcze spoczywają w mgławicy dobrych chęci, ale zdradzają przynajmniej pracę myśli i ofiarności w przytoczonym kierunku. Słychać o szkole chemicznej, a nawet o kilku „specyalnych.“ Ktoś znowu ma założyć szkołę dla dzieci „utalentowanych“ (od lat 10) a ubogich. Ostatni ten pomysł, o ile jest oryginalnym, o tyle niepraktycznym. Naprzód kto (pominąwszy wypadki bardzo rzadkie) zdoła w 10-letniem dziecku wykryć i oznaczyć talent? Rodzice, którzy będą tu pierwszymi sędziami, co najmniej w połowie swego błogosławieństwa dopatrują „szczególnych uzdolnień.“ Znawcy bezstronni znajdą się wobec szeregu wątpliwości, których żadnym środkiem nie usuną. Powtóre, talenty są nietylko rzadkie, ale różnorodne. Przypuśćiwszy więc, że duch św. wynalazłby wszystkie i sprowadziłby do szkoły, musiałaby ona posiadać odpowiednie, to jest najrozmaitsze oddziały, na utrzymanie których starczyłaby zaledwie kasa bogatego państwa. Zdarzyćby się mogło np., że zakład pewnego roku dostałby na wychowanie 1 muzyka, 1 rzeźbiarza, 1 malarza, 3 poetów, 2 inżenierów, 1 budowniczego itd., których należałoby osobno i starannie kształcić. Gdyby podobną myśl powziął nieboszczyk król bawarski — a ona bardzo przypomina jego fantazyę — nie wątpilibyśmy, że prędzej czy później zbraknie mu pieniędzy, a ministeryum skarbu odmówi dalszych zasiłków. Cóż dopiero mówić o prywatnym marzycielu warszawskim, który nie posiada ani paru milionów listy cywilnej, ani królestwa bawarskiego. Pobawiwszy się więc podczas letniej nudy tem cackiem z dziurką, odłożymy je zapewne na bok. Co innego szkoła techniczna, którą pogłoski nazywają chemiczną, a która już dawno pokutuje w naszych niespełnionych marzeniach. Ta byłaby potrzebną i wykonalną. Po każdej o niej wzmiance natychmiast mnóstwo wyczekujących tego dżdżu dopytuje się, kiedy i gdzie on spadnie. Uprzedzamy więc, że jest to dotąd nieodpieczętowana publicznie tajemnica, złożona w jednym czy kilku dziennikach warszawskich. Nie mamy nawet pewności, że nie ukrywa się pod nią wskrzeszona dawna mara, która corocznie błąka się po pismach i znika.

P. Norblin (właściciel fabryki wyrobów platerowanych) przeznaczył 50,000 rs. na zapomogi i emeryturę dla robotników swego zakładu, którzy przesłużyli lat 25. Jest to druga już taka ofiara (pierwsza Szlenkiera), która obok ujawnienia dobrej woli dowodzi wpływu pewnych świeżych prądów na uczucia kapitału. Broni on się w swych prawach i przywilejach, ale od czasu do czasu mimowiednie stwierdza, że jest, jeśli nie pokonanym, to przekonanym. Dotąd robi ustępstwa i zdobywa się na poświęcenia w zakresie — że tak powiemy — rodzinnym, dobrowolnie obdarowywa koła najbliższe ręki ofiarniczej, ale taką kolej wyrównywania się położeń uważać należy za naturalną i pewniejszą od nagłych przeskoków. Bodajby śladem Szlenkiera a za Norblinem poszli wszyscy, którym tę drogę obowiązek wskazuje.

Kto też pierwszy uczuje miłosierdzie nad biednymi pracownikami, pomijanymi we wszystkich wywodach filantropijnych a zasługującymi na względy niemniej od innych — nad zecerami? Są oni najbezkarniej krzywdzeni i to właśnie przez tych, którzy z urzędu są mścicielami samowoli i wyzysku — przez literatów. Jeden z tych białych murzynów skarży się w *Gazecie polskiej*, a każdy wyraz tej skargi drga smutną prawdą. Pomijam to, że zarobek zecerski nie podnosi się w stosunku odpowiednim wzrostowi innych (np. fabrycznych), ale warto poznać, co z ciężką, rujnującą zdrowie pracą, robi pierwszy lepszy reporter. Do drukarń idą rękopisy z gruba nieociosane i nieczytelne, które kradną czas, zmarnowany na odgadywanie zygzaków i poprawianie omyłek, ludziom, wynagradzanym nie dziennie, lecz od wykonanej pracy. Pomyślmy tylko, że czy zecer ma zarobić rubla, czy 50 kop., czy skończy zajęcie po południu, czy nad ranem, wszystko to zależy od kaprysu wyraźnie i niewyraźnie, terminowo i nieterminowo piszących. Zamiast szybko składać czcionki, nieraz musi ślęczeć po kilka minut nad hieroglifem, wzywać pomocy towarzyszów, przestawiać w korekcie całe wiersze, łamać inaczej całe stronice lub czekać z założonemi rękami przez całe godziny na rękopis, opóźniony wyjazdem autora na podwieczorek do Marcelina. Gdyby czytelnik, nieznający kuchni wydawniczej, zajrzał do niej, gdyby widział fantastyczne swem niedbalstwem gryzmolenia i korekty, w których na marginesie przeznaczony bywa tekst z gruntu, gdyby sobie uprzytomnił, że układanie metalowych czcionek nie idzie tak prędko, jak posuwanie piórem, ujrzałby dopiero we właściwem świetle pracę zecerską. A nadużycia te dzieją się w wielkim rozmiarze, codziennie, bez wyrzutów sumienia, bez nagan, boć przecie winowajcy musieliby być oskarżycielami. Do jakiego stopnia wkorzeniła się w zwyczaj i w nałogi ta swawola, dość powiedzieć, że przed kilku laty ktoś napisał do jednego z dzienników artykuł w obronie zecerów, który zwrócono autorowi, gdyż był zbyt... nieczytelnym.

Propria laus sordet. Ogólnie więc tylko powiemy, że robimy wszystko, co jest możliwem, ażeby tymi grzechami sumienia swego nie obciążać. Grzechy te powinnyby z jednej strony mniej być lekceważone, z drugiej—pobudzić do naprawy ich wdzięcznością. Co literaci warszawscy zrobili dla zecerów? Nic. Ani razu nie przedsięwzięli dla nich żadnego wydawnictwa, żadną pomocą nie zasilili ich kasy. Czyby nie było uczciwem i szlachetnem, ażeby corocznie w pewnej oznaczonej porze zbiorowemi siłami podejmowali na ich korzyść jakąś książkę?..

Przepadnij szczere słowo w głuchych uszach, jak przepadło tyle innych.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasza cywilizacya i jej pionierowie —nauczyciele wiejscy. — Oficyaliści.— Dobrowolne umowy... pod groźbą procesu. — Obawy żydów. — Niemcy na Wołyniu.

Niie mówiąc już o pretensyach do tytułu ludu wybranego, zgodnie uważamy siebie wszyscy za mniej lub więcej, ale zawsze cywilizowany naród. Wszakże każdy z nas pamięta i innym przypomina, że cywilizacyi europejskiej broniliśmy niegdyś piersiami a dziś stanowimy wysunięty jej posterunek. Mówi się tak w tej lub innej, w śmiałej lub w ogłędnej formie, czasem zresztą nie mówi się wcale, lecz milczeniem lub półsłówkiem daje do zrozumienia. Potrzeba więc przejrzeć uważnie te dokumenty, na których opieramy obronę praw swoich, ażeby nie narazić się na przegraną w procesie. Niwa nasza umysłowa, obsiewana ziarnem lichem, wydaje nędzne plony i jałowieje z dniem każdym. Sądząc z tego, co czyta i co pisze t. z. inteligencya, powiedzieć można, że w ogólnym pochodzie cywilizacyjnym zajmuje ona ostatnie szeregi. Ale nie o nią idzie mi w danym razie lecz o masy ludowe, które wyprzedzają już nietylko zachodni sąsiedzi.

Sprawozdania o poborze do wojska z lat ostatnich wykazują, że procent piśmiennych rekrutów mniejszym był w Królestwie, niż gdziekolwiek w państwie rosyjskiem i w dodatku różnica jest dosyć znaczną. Tylko w azyatyckich prowincyach Rosyi procent jest nieco mniejszy, ale na pewno powiedzieć można, że za lat kilka Syberya i Turkiestan dopędzą nas i prześcigną. W czem że więc wyraża się cywilizacya nasza, jeżeli warstwy inteligentne, przez grzeczność chyba mogą być nazywane, jeżeli lud jest ciemny i oprócz tego około 20% ludności (żydzi i niemcy) nie zna wcale lub nieużywa w życiu domowem

języka krajowego? To pokolenie, które teraz odbywa służbę wojskową, daje przecie większy procent piśmiennych, aniżeli starsze; przeszło już ono bowiem w pewnej części przez szkołę. Wprawdzie uczelni ludowych nie mamy zbyt wiele, ale istniejąca ich liczba pozwala na to, żeby przynajmniej połowa ludności w wieku szkolnym uczyła się czytać i pisać. Nie sam więc tylko brak ognisk jest przyczyną ciemnoty ludu; oświata nie rozpowszechnia się dla tego głównie, że nikt niedba o nią, że szkoły uposażone są niezmiernie licho, prowadzone w znacznej części niedbale. Inaczej zaś być nie może, jeżeli społeczeństwo sprawę tę spycha na szary koniec, nie popiera jej ani moralnie, ani pieniężnie. *Gazeta świąteczna* zabiera właśnie głos w przedmiocie nauczycieli wiejskich. Autor pokazuje nam, w jakich warunkach ci „przewodnicy“ ludu żyją i działają. Większość ich nie odpowiada swemu zadaniu, są to często „przybysze z dalszych stron, których nie obchodzą sprawy ludności okolicznej,“ inni znowu uważają siebie za „misyonarzy, posłanych dla oświecenia ciemnego tłumu.“ „Mając zupełnie odmienne przekonania, uczucia, przyzwyczajenia, niekochając niczego, co go otacza, taki nauczyciel zasiewa ziarna nienawiści do siebie w sercach ludności wiejskiej.“ Inni jeszcze, nieprzyzwyczajeni do życia na wsi, nie lubią go i nie rozumieją i „niezdolni są nic widzieć po za swym nosem i swą szkołą.“ Nic więc dziwnego, że na nauczycieli lud zwykle patrzy, jak na wrogów swoich lub na niciponiów nieużytecznych. Inaczej być nie może, między włościaninem bowiem i mniemanym „przewodnikiem“ jego nic wspólnego nie ma. Chłop zresztą nie będzie życzliwie patrzeć na człowieka, który przez większą część roku, zwłaszcza zaś w czasie ciężkich robót letnich, siedzi bezczynnie, bo wtedy właśnie dzieci do szkoły nie chodzą. W warunkach takich najlepszy nauczyciel nie pozyska wpływu na gromadę, która zawsze uważać go będzie za obcego. Potrzeba więc nauczycielowi ułatwić zbliżenie do ludu, zespolić go z masą włościańską. W tym celu pożądanem byłoby bardzo, żeby posady nauczycielskie zajmowali ludzie urodzeni i wychowani na wsi, w tej samej okolicy, gdzie później pracować będą, nie tak jak dziś, kiedy litwin często jest nauczycielem w lubelskiem, mazur w krakowskiem itp. Spełnienie tego warunku nie zawsze okaże się możliwem, ale od dobrej woli mieszkańców gminy lub wsi zależy nadanie nauczycielowi kawałka gruntu, na którym zająć by się mógł on pracą rolną. Wspólne zajęcie najlepiej zbliża ludzi i takiego nauczyciela-rolnika chłop nie będzie uważał za „obcego przybłędę.“ Wtedy i sprawy szkolne, które dzisiaj nie obchodzą prawie wieśniaków, zainteresują ich żywiej, i wytworzy się łączność pewna pomiędzy gromadą a nauczycielem, z czego obie strony skorzystać tylko mogą. Jest to pewniejszy sposób aniżeli powiększanie pensyi, które, wobec biedy naszego ludu, często jest niemożliwem. Zresztą nauczyciel, jak wspomnieliśmy wyżej, przez większą część roku nie ma żadnego zajęcia i to właśnie w porze najwłaściwszej dla ogrodnictwa i gospodarki rolnej; łatwo więc połączyć może specyalne swe zadanie z pracą około ziemi.

Pozostaje do rozwiązania jedna trudność — skąd wziąć gruntu dla nauczyciela, kiedy gromada ma go zwykle za mało? Gdyby rzeczywiście „dwór“ dbał tak o oświatę „chaty,“ jak to czytamy nieraz w pismach zachowawczych, trudność ta nie istniała by wcale. Wydzielenie kilku morgów z obszaru dworskiego, nie na własność, ale na użytkowanie bezpłatne, nie przedstawiałoby w większości wypadków żadnych przeszkód, nie mówiąc już o tem, że w niektórych majątkach znajdują się takie oderwane od całości, lub wsunięte między niwy włościańskie kawałki ziemi, które bądź to marnują się bezużytecznie, bądź też wypuszczają się w dzierżawę za drobną kwotę. Ale wyjątkowo chyba spodziewać się można tego rodzaju ofiary, szkoła wiejska nie cieszy się sympatyą dworu. Przecie większość jej budynków — to nędzne chatki na kurzych łapkach, walące się ze starości, brudne i ciasne bo chłopi nie mają drzewa na wystawienie nowych a dwór nie ofiaruje im na ten cel budulcu.

Czyż zresztą nauczyciel chłopski może spodziewać się współczucia od panów, z którymi nic go nie wiąże, jeżeli nawet ludzie, z którymi wspólny interes łączyć powinien właściciели ziemskich, nie znajdują słusznie należnej im pomocy. Mówię tu o oficyalistach gospodarskich, od lat kilkunastu wyglądających z upragnieniem kasy emerytalnej. Panowie od czasu do czasu przypominają sobie o tym obowiązku, pogadają przez kilka godzin, wyrażają swe dobre chęci w formie projektu, zaraz po napisaniu złożonego do akt i zapomną na lat kilka, aż do nowego powtórzenia tej samej zabawki. Teraz dopiero, podczas wystawy rozstrzygnięto sprawę ostatecznie, a mianowicie zalecono oficyalistom, żeby ubezpieczali się w istniejących towarzystwach asekuracyjnych. Dobra rada zawsze coś warta, zapewne więc ekonomowie i pisarze ucałują za nię pokornie rączki pańskie i zalecenia nie wypełnią, ponieważ nie są w stanie tego uczynić. Z maleńkich swoich pensyjek nie mogą oni przecie płacić składek, które względnie muszą być dosyć wysokie, gdyż pp. obywatele nie biorą na siebie płacenia połowy wniosków, jak to się dzieje np. w niektórych instytucyach wzajemnej pomocy przy fabrykach.

Zresztą towarzystwa ubezpieczeń odstraszyć mogą tylko ludzi cichych i spokojnych. Instytucye te w dziale ubezpieczeń od ognia dojdą wkrótce do tego, że ubezpieczać się w nich będą chyba łotry ostatniego gatunku, człowiek zaś porządny wybierze raczej przypuszczalną stratę wskutek pożaru, aniżeli ciągłe szykany i perspektywę procesu o podpalenie. Kilkakrotnie podnoszono już zarzut, że towarzystwa groźbą procesu wymuszają od ubezpieczonych pewne ustępstwa z normy wynagrodzenia. Już samo dopuszczenie układów dobrowolnych źle mówi o tym stosunku; bo: albo pożar był skutkiem podpalenia — i wtedy instytucya wolną jest od płacenia umówionej sumy, albo też wynikł z innych przyczyn — i wtedy płacić należy ściśle tyle, ile wypada. Straszenie procesem i dobrowolne układy są po prostu oszustwem, które winno być przez prawo karane. Że w większej części wypadków procesy wytaczane są bez żadnych powodów, świadczy ta okoliczność, iż sąd zwykle uniewinnia oskarżonych. Towarzystwa zresztą nie skarżą nigdy prawie tych małomiasteczkowych oszustów, którzy z podpalenia zrobili sobie zyskowne zajęcie, ale ciągną przed kratki ludzi zamożnych, zajmujących pewne stanowisko towarzyskie, tj. takich właśnie, jacy z obawy skandalu najłatwiej zgadzają się na ustępstwa. Poprzednio zaznaczyliśmy w tej rubryce kilka takich wypadków, teraz mamy nowy dowód bezzasadnej skargi. Sąd kielecki uwolnił od odpowiedzialności obywatela ziemskiego p. R. człowieka zamożnego i szanowanego, oskarżonego o podpalenie budynków, które, jak się okazało, nie były bynajmniej oszacowane wyżej wartości. Adwokat Towarzystwa ubezpieczeń w dziwny sposób dowodził winy oskarżonego: „P. R. — mówił on — cieszył się powszechną sympatyą, służba była doń przywiązaną, chłopi kochali go — nikt więc nie mógł podpalić budynków, tylko on sam.“ Pierwszy to chyba przykład w kronice sądowej, żeby przymioty oskarżonego i dobra opinia, jaką się cieszył, mogły stać się dowodem jego winy. O logiko adwokacka, jakimi ty manowcami chodzisz!

Dobroć serca w dzisiejszych czasach nieraz narazić może człowieka na niebezpieczeństwo. Wiedzą o tem żydzi, którzy wszelkiego rodzaju doświadczenia w długiem życiu swojem przechodzili i odrazu czują instynktownie, co im grozić może. Jakiś obywatel ziemski opowiada w *Gazecie lubelskiej*, że jadąc do miasta spotkał na drodze dwoje starych żydów, stojących około biednie ubranego dziecka. Starozakonna para zaczęła wołać na przejeżdżającego, żeby się zatrzymał. Okazało się, że spotkali oni na drodze zapłakane dziecko, które widocznie ktoś porzucił i bali się ruszyć z miejsca, aby ich nie posądzono zasem o przywłaszczenie małego chrześcianina. Obywatel musiał wydać żydom kartkę, świadczącą, że zawiadomili go oni o znalezieniu podrzutka, poczem dopiero uspokojeni udali się w drogę do najbliższej gminy, dla wręczenia komu należy niebezpiecznego przedmiotu. I okazuje się, że ci ostrożni ludzie mieli racyę, bo oto w Dołhinowie, w powiecie wilejskim przed kilku tygodniami żydzi pobici zostali przez ludność chrześciańską z takiego powodu. Podczas jarmarku włościanowi Krasowczynowi zginął syn, dwunastoletni chłopiec, którego widziano wchodzącego do sklepu żydowskiego. W parę dni potem znaleziono w drodze trup dziecka, z poderżniętem gardłem, ale w czystej koszuli. Śledztwo nie wykryło zbrodniarza, chłopi jednak twierdzili, że zabójcami są żydzi, którzy zamordowali chłopca dla celów religijnych. W dzień Bożego Ciała zebrane na odpust w miasteczku tłumy ludzi rzuciły się na żydów, bijąc i niszcząc ich mienie. W parę godzin wszystkie sklepy zostały złupione. W krwawej walce kilka osób poniosło śmierć, rannych zaś liczą przeszło dwudziestu. Na drugi dzień przybyło do miasteczka wojsko i wtedy dopiero zaburzenia ustały.

Jeżeli żydzi lękają się i słusznie chłopów, to i pogromcy ich boją się także niektórych swych sąsiadów. W okolicach Żytomierza rozeszła się między chłopami pogłoska, że niemcy-koloniści chcą ich wyrżnąć, że władza odkryła skład noży itd. Chłopi jednak postanowili bronić się i napad odeprzeć, kto wie nawet, czy nie przejdą w stan zaczepny. Stosunki bowiem między ludnością miejscową i przybyszami są bardzo naprężone. Włościanie, krzywdzeni przez niemców, mszczą się na nich przy każdej sposobności, przechwalając się nawet, „że my dla nich miłosierdzia nie mamy.“

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr warszawski otrzymać ma na nowo, utracony przed trzema laty, zasiłek z funduszów rządowych.

Minister sprawiedliwości polecił, ażeby wszyscy pisarze i protokolliści pochodzenia żydowskiego, pracujący w kancelaryach sędziów śledczych, zostali w ciągu dwóch miesięcy usunięci z zajmowanych posad.

Przesyłka pism. Nowe rozporządzenie, dotyczące przesyłki pocztą pism, ustanawia taksę, opartą nietylko na wysokości ceny, ale również na ilości numerów i ich wadze; przepis ten najuciążliwszym jest dla pism codziennych. Opłata pocztowa winna być wnoszona z góry i tylko stosownie do uznania naczelnika zarządu poczt i telegrafów rozłożoną być może na raty kwartalne. Dla pism rosyjskich, które wyłącznie prawie pobierają prenumeratę za rok cały z góry, przepis ten nie ma wielkiego znaczenia, u nas jednak, gdyby nie uległ pewnym zmianom, odbiłby się bardzo niekorzystnie na budżecie wydawnictw.

Obdłużenie większej własności ziemskiej w Galicyi, zajmującej przestrzeń około 5,300,000 morgów, wzra-

sta z rokiem każdym. W 1881 r. długi hipoteczne wynosiły 129,600,000 złr. — obecnie przechodzą już 145,000,000 złr., tymczasem cena ziemi w okresie tym zniżyła się nawet.

Obrońcy prywatni. Przy zamierzonej reformie adwokatury, instytucya obrońców prywatnych ma być zniesioną.

Sprawozdanie biblioteki publicznej w Petersburgu wykazuje, że polskie pisma czytane tam są dosyć często. Pierwsze miejsce zajmuje *Ateneum*, które w ciągu roku wydano do czytania 780 razy, dalej idą: *Biblioteka warszawska*, *Niwa*, *Przegląd Tygodniowy* i *Prawda* (wszystkie przeszło 500), inne pisma czytane były daleko rzadziej.

Bibliografia. Dr J. Długoborski. *Poezye*. Kijów.

Prasa polska. Dwa pisma polskie na Szlązku pruskim: *Postęp rolniczy* i *Gazeta górno-szląska*, nękane ciągłemi karami pieniężnemi, po daremnych usiłowaniach pozyskania pomocy materyalnej, przestały wychodzić. Redaktor ich p. Przyniczyński odsiaduje obecnie więzienie; czynił on starania o zasiłek w Warszawie, ale wydatki na wystawę, wyścigi, zabawy ludowe itd. wyczerpały fundusze osób, do których się zgłaszał.

Sprostowanie. *Kuryer warsz.* donosi, że w gimnazyum w Równem jest w r. b. 246 wakansów, ponieważ wiadomość ta może rodziców lub uczniów narazić na zawód, prostujemy ją, że w Równem nie ma wcale gimnazyum, tylko szkoła realna.

Szkoła chemiczna, czyli właściwie technologiczno-chemiczna założoną ma być w Warszawie z funduszów prywatnych.

Zakłady szczepienia wścieklizny otwarte zostały w Moskwie, Odessie i Samarze, z sum zebranych drogą składek. My w Warszawie czekamy, a raczej pozwalamy, ażeby jeden niezamożny człowiek dźwignął ten ciężar sam.

Propaganda małżeństwa. Rada miejska w Kijowie zamierza wystąpić do ministeryum z wnioskiem o nałożenie podatku na bezżennych mężczyzn, którzy ukończyli 30 lat życia.

Wyrok. W Samborze, w Galicyi, wskutek doniesienia konsystorza unickiego w Przemyślu oddano pod sąd kilku włościan za „szerzenie zasad anti-religijnych i socyalistycznych." Rozprawy były tajne, oskarżonych skazano na kilka lat więzienia za wyszydzanie religii, agitacyę przeciw własności i podburzanie przeciwko *pewnym* klasom społecznym."

Więzienia. W państwie rosyjskiem w r. z. było 884 więzień, w których znajdowało się pod zamkiem 815,000 osób.

Plantacye buraków w gubernii kijowskiej zajmują 624.806 dziesięcin ziemi, t. j. przeszło 12% wszystkich gruntów uprawnych.

Wywóz z Rosyi zmniejsza się ciągle w latach ostatnich. W r. 1883 wywieziono towarów za 607 milionów rs., w 1884 r. za 550 milionów, wreszcie w 1885 r. tylko za 497 milionów rubli. Jednocześnie zmniejsza się i przywóz, który z 513 mil. rubli w 1883 r. spadł do 379 mil. w 1885.

Zmarli. Jules Devaux, uczony belgijski, zajmował się historyą prawa polskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Władysł. Osuch. w Cumaniu. Genewa, Champel—Zagroda.

P. S. S. w Amst. W zasadzie zgoda, prosimy jednak o przysłanie jakiegoś artykułu, któryby nam pozwolił prozumieć się szczegółowiej.

P. Jan. w Albert. Słownik wyrazów obcych z przesyłką kosztuje

Drowi B. Ambroż. Bobrzyńskiego — naturalnie dla dorosłych — w każdej księgarni.

Karolowi K. Gramatyka Małeckiego, Historya Bobrzyńskiego, Historya lit. Kuliczkowskiego, co do geografii krajowej specyalnych prac nowych nie ma, w niektórych wszakże podręcznikach ogólnych część ta obszerniej jest traktowaną.

P. C. Hul. Hist. Bobrzyńskiego, Geografia powszechna — Guthego, ale wydana przed 10—12 laty.

P. Elżb. w W. Kobiety kształcą się na uniwersytetach nietylko w Szwajcaryi, lecz także we Francyi i Belgii. Szczegółowych objaśnień dostarczyćby mogła tylko jedna ze studentek.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Іюня 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.